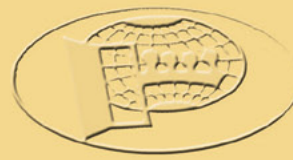




STOWARZYSZENIE SERVAS POLSKA

Podróżowanie z Servasem

Wrocław–Warszawa 2014



Spis treści

Część I

RELACJE POLSKICH PODRÓŻNIKÓW

Ted Karolak

Od Florydy po Kalifornię 8

From Florida to California 8

Anna Sala-Wojnowska

Spotkanie z mnichem buddyjskim w Nepalu 124

Część II

RELACJE GOSPODARZY

Renata Bednarz

Bill w Chrzanowie 142

Część III

RELACJE CUDZOZIEMCÓW Z PODRÓŻY PO POLSCE

Rossaukhon

Dear my host and hostess 158

Irv Thomas

Bumming Poland with backpack and chauffeur* 162

Część IV

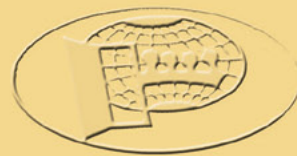
POCZĄTKI SERVASU W POLSCE

Michał Olczak

Stary Servas 180

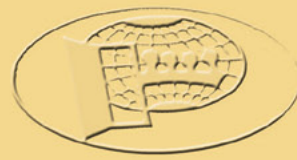
Jerzy i Ewa Krasiccy

Nasze lata z Servasem 190



Część I

RELACJE POLSKICH PODRÓŻNIKÓW



Ted Karolak

Od Florydy po Kalifornię
From Florida to California



Wstęp

Od wielu lat jesteśmy członkami niezwyklej organizacji, jaką jest Servas (nazwa pochodzi z esperanto i znaczy: służyć). Jest to międzynarodowa organizacja mająca na celu budowanie wzajemnego zrozumienia, pogłębianie tolerancji i usuwanie wzajemnych uprzedzeń poprzez nawiązywanie kontaktów międzyludzkich, niezależnie od rasy, narodowości i wyznania. Całe działanie SERVASU odbywa się bez zbędnej oficjalności, która stwarza niepotrzebny dystans między ludźmi. Zamiarem założycieli Servasu było między innymi stworzenie nowego sposobu podróżowania, który umożliwiłby wzajemne odwiedzanie się ludzi różnych kultur. Najlepiej bowiem poznaje się drugiego człowieka w jego własnym środowisku.

Podstawową strukturą Servasu jest sieć ponad 12000 gospodarzy-członków w około 120 krajach, którzy gotowi są bezinteresownie i bezpłatnie gościć innych servasowców, aby poszerzać grono przyjaciół, mających zbieżne wartości i upodobania.

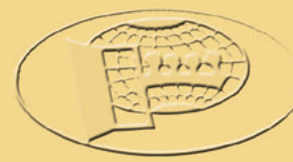
Tak więc na miesiąc przed wyjazdem nawiązaliśmy kontakt e-mailowy z servasowcami, których mogliśmy „napotkać” na naszej trasie. Podaliśmy krótki opis naszej podróży z zapytaniem, czy byłaby możliwość skorzystania z ich gościny w takim a takim terminie. Wysłaliśmy około 30 e-maili, z czego otrzymaliśmy ponad 20 odpowiedzi. Ze względu na okres świąteczny nie

Foreword

For many years we have been members of an extraordinary organization named Servas (from Esperanto: serve). It is an international organization focused on building mutual understanding, spreading tolerance and fighting prejudice by establishing contacts between people, regardless of race, nationality or belief. All the activities of Servas are carried out without the needless officialism creating an unnecessary distance between people. One of the aims of the founders of Servas was to create a new mode of traveling, which would enable people of different nationalities and cultures to visit each other. For the best way to get to know another person is to meet them in their own environment.

The basic structure of Servas is a network of over 12000 hosts – disinterested members of Servas in about 120 countries, ready to welcome other Servas members for free as a way to widen their circle of friends sharing similar values and preferences.

So, a month before our departure we contacted by e-mail those Servas members who could host us during our journey. We sent them a short itinerary asking if there was a possibility to become their guests in the given dates. Out of about 30 e-mails that we sent we received over 20 replies. Because of the Christmas period, not all the hosts were able to welcome us,



wszyscy „gospodarze” mieli możliwość nas gościć, ale część odpowiedzi była pozytywna, a nawet czasami wręcz wzruszająca.

Oto kilka cytatów:

...Mieliśmy plany, żeby gdzieś wyjechać [...] Ale pomyśleliśmy o waszej wizycie i zdecydowaliśmy, że teraz nie wyjedziemy. Spędzimy te dwa dni 26 i 27 z wami. [...] Do tego czasu, życzymy wam udanej podróży. Susan i Howie.

Będzie nam bardzo miło gościć was w naszym domu. Mamy domek gościnny, w którym możecie się zatrzymać, jest bardzo przyjemny [...]. Betty

Ogromnie się cieszymy z waszej wizyty... Peter

Jaka wspaniała wycieczka. Będę w domu, kiedy przyjdziecie. Możecie u nas się zatrzymać. Miłej podróży. Spokojnej. Louise

Pozdrowienia. Z wielką przyjemnością będziemy was gościć u nas. [...] Będzie nam miło zorganizować dla was niewielkie przyjęcie (mój mąż jest świetnym kucharzem!), żebyście mogli poznać naszych przyjaciół. [...] Udanej podróży po Florydzie. Celia

Z ogromną przyjemnością będziemy was gościć w naszym domu na początku stycznia. Do tej pory nie mieliśmy zbyt dużo gości z Servasu [...] Nie możemy się doczekać waszego przyjazdu. Mamy nadzieję, że będziecie mieć udaną podróż. Clyde i Sharon

but some of the replies were positive, and some of them were even touching.

Here are some quotations:

...We had tentative plans to go away for a few days [...] However, after thinking about your visit we decided no to go away and instead visit with you on the 26th and 27th. [...] We look forward to meeting you. [...] Susan and Howie

We would enjoy having you stay with us. We have a garage apartment you can stay in, very cozy. Betty

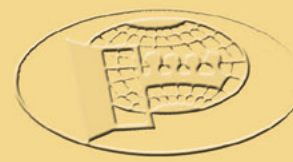
We would love to have you visit... Peter

What a wonderful trip. I will be at home to guests Jan 4 & 5. You are welcome to stay here. Happy travels. Peace. Louise

Greetings. We would LOVE to host you. [...] We would be happy to host a small dinner party (my husband is an excellent cook!) for you to meet some friends while you are here. [...] Have a great time in Florida. Celia

We would be delighted to have you stay with us in early January. We do not get enough Servas visitors. [...] We're looking forward to meeting you, and hope you have a great trip. Clyde & Sharon

Hi! Nice to hear from you. January, anytime, would be fine. I have guest room with a double bed, and also a foldaway cot or



Cześć! Miło was słyszeć. Styczeń, każdy inny termin, nie ma sprawy. Mam pokój gościnny z łóżkiem małżeńskim oraz domek i wygodną kanapę, jeśli to wam odpowiada. [...]. Uwielbiam wszystkich podróżników z Polski! Z poważaniem. Lynne

Cześć Ted! [...] Nie mogę się doczekać waszego przyjazdu. Poinformujcie mnie, o której godzinie mogę się was spodziewać. Wszystkiego dobrego. Gail

Ted: Ty i Beata jesteście mile widziani u nas [...] Oczekujemy waszego przyjazdu. Teresa

Cześć. Będzie mi szalenie miło gościć was u mnie. Poinformujcie mnie tylko dokładnie, kiedy będziecie. Anna

Wspaniale! Zadzwońcie tylko, kiedy przyjedziecie [...] Oczekuję was. Eric

Nie byliśmy w stanie skorzystać ze wszystkich zaproszeń. Niektóre się dublowały, niektóre dotyczyły innych terminów. Jednakże powyższe cytaty mogą dać choćby przybliżony obraz tego, jak bardzo servasowcy są otwarci na nowe kontakty, relacje i przyjaźnie przekraczające bariery granic, religii, koloru skóry... Ta wspaniała postawa napawa optymizmem i wiarą w to, że ludzka życzliwość istnieje i będzie istnieć.

comfortable sofa, if that would work for you. I don't need much notice, so see how your trip unfolds and let me know. I've LOVED all my visitors from Poland! Sincerely. Lynne

Hi Ted,[...] I'm looking forward to your visit. Let mi know what time I should expect You when you are able. My best. Gail

Ted: You and Beata are most welcome to come visit [...] I look forward to meeting you. Teresa

Hi, I might be able to, and happy to host you both, but I would need more specific dates. Anna

Great! just give me a call when you arrive [...] I look forward to meeting you both. Eric

We weren't able to accept all the invitations. Some of them coincided with each other, some suggested other dates. Nevertheless, from the above quotations we can get at least a vague picture of how much the Servas people are open to new contacts, relationships and friendships, extending beyond the limits of borders, religions, skin color... This wonderful attitude of all the Servas members (not just those from the US) fills one with optimism and lets us believe that human kindness exists and will exist.

**20/12/04 „Polska – Floryda”**

Nie wiem, czy to jakieś fatum ciąży nad nami, ale zawsze przed większymi podróżami mamy tysiące spraw do załatwienia, mimo iż na ogół wiemy dużo wcześniej, że wyjeżdżamy. Są to często prozaiczne sprawy, które jednak mają nieznośny zwyczaj spiętrzania się. Tak było i teraz. Cały tydzień w pogoni za własnym ogonem. To spowodowało, że zaczęliśmy się pakować dopiero ok. 22⁰⁰ na dzień przed wyjazdem, a skończyliśmy ok. 1³⁰ w nocy. O 8⁰⁰ rano byliśmy już na lotnisku – czyli noc tuż przed naszą daleką eskapadą mieliśmy bardzo krótką. Tu czekała Beata wielka niespodzianka, biorąc pod uwagę, że nie tylko nic o niej nie wiedziała, ale nawet się niczego nie domyślała. Poszła kupić gazety, gdy nagle usłyszała znajome głosy – to była Mery i jej siostra Jola. Przyszły nas pożegnać i wręczyć drobne upominki, a szczególnie aniołka, który miał chronić Betkę w USA (przed czym, nie wiadomo, ale tak na wszelki wypadek...). Tak więc były łzy wzruszenia i śmiechu. Później nie było nam tak wesoło, bo spędziliśmy w samolocie najpierw 2 godziny do Frankfurtu, a później kolejne 11 godzin do Miami. O ile przyjemniej by się leciało, gdyby miejsca leżące były również w klasie ekonomicznej, a nie tylko w biznesowej, ale o tym możemy na razie tylko pomarzyć. Wyprawy za ocean na ogół są uciążliwe. Tak było i teraz. Na szczęście mieliśmy ze sobą tabletki na sen – melatoninę, dzięki której jakoś znieśliśmy niewygody tego lotu.

20/12/04 “Poland – Florida”

I don't know if it's just some ill-fortune, but every time we are about to go on a big journey it turns out that we have a thousand things to take care of before setting off, even though we usually know much earlier that we are going to leave. These are mostly simple problems, but they have a disturbing habit of piling up. This was the case this time, too. We spent the whole week “chasing our own tail”. It was the reason why we started to pack up only at 10PM a day before our departure and we finished at 1.30 at night. At 8AM we were at the airport – so the night before our escapade was very short.

There was a big surprise waiting for Beata, especially considering that she not only hadn't known anything about it, but she hadn't even suspected anything. She was walking to buy some newspapers when she suddenly heard familiar voices – they belonged to Mery and Jola, her sister. They came to say goodbye and give us little souvenirs, of which the most important was an angel, supposed to defend Betty in the USA (from what? – nobody knows, but just in case...). So there were tears of emotion and laughter. Later on, we didn't feel like laughing anymore, because we first spent two hours (to Frankfurt) and then another eleven hours (to Miami) on the plane. Flying would be much more pleasant, if sleeper seats were also in economy class, and not just in business class... but this is something we can only dream of. Trips across the ocean are usually exhausting, and it was no different this time. Luckily



Wylądowaliśmy w Miami ok. 17⁰⁰ lokalnego czasu jeszcze tego samego dnia. Dość szybko załatwiliśmy wynajęcie samochodu i wyruszyliśmy w naszą podróż. Mieliśmy trafić do pierwszego servasowego gospodarza – Gail. Okazało się to nie lada wyczynem, szczególnie w nocy – albowiem tuż po 17⁰⁰ zapadała tu bardzo szybko ciemność, a Miami to 3-milionowa metropolia poprzecinana wszelkiego rodzaju arteriami, i to nie zawsze dla nas czytelnie oznaczonymi. Po 2 godzinach wreszcie dotarliśmy na miejsce. Po drodze naszą uwagę przykuł niezwykle widok. Był to dom „oblepiony” niemal tysiącem, a może i milionem światełek. Było jasno jak w Las Vegas. Nie

tylko budynek, ale również palmy, drzewa, a także ruszające się renifery Św. Mikołaja – wszystko było w żaróweczkach. Po prostu istne чудо. Okazało się, że to prywatna posiadłość, której właściciele co roku robią taką „imprezę” przyciągając uwagę tysięcy przejeżdżających tamtędy ludzi. Gail zdradziła nam, że gospodarz tej niezwykle iluminacji w grudniu za prąd płaci ok. 10 tys. \$. Czy możecie w to uwierzyć? My tak, bo tam byliśmy i to widzieliśmy.



we had some Melatonin sleeping pills with us, which helped us stand the inconvenience of the flight.

We landed in Miami at about 5PM local time on the same day. We handled the car rental quite quickly and we set off on our journey. We were supposed to get to the first Servas host – Gail. It turned out to be quite a task – especially at night – because just after 5PM it was getting dark very quickly, and, what is more, Miami is a three million metropolis traversed by thoroughfares of all kinds, which aren't always well-marked. After two hours we finally reached our destination. On our way, our attention had been absorbed by a spectacular view. We saw a house covered with

a thousand, or maybe even a million lights. It was bright as in Las Vegas. Not only the building, but also the palms, the trees and the moving Santa Claus's reindeers – everything was in little light bulbs. A pure miracle. It turned out to be a private mansion, whose owners prepare such a “show” every year, attracting the attention of thousands of passers-by. Gail told us that the owner of this magnificent illumination pays about \$10000 for electricity in December. Can you believe it? We can, because we've been there and we've seen it.



22/12/04 „Wyprawa po samochód”

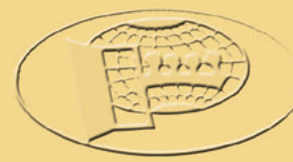
Po przespanej, znowu dzięki melatoninie, nocy postanowiliśmy kupić gazetę z samochodami, bo przecież czymś musimy jeździć. Wypożyczenie nie wchodziło w rachubę ze względu na horendalne koszty. Mając w ręku magazyn za około 1\$ z samochodami do wartości 5000\$, od razu zdecydowaliśmy się zahaczyć o kilka komisów samochodowych. Nie było to takie proste, jak myśleliśmy. Na zakup naszego przyszłego środka transportu zamierzaliśmy przeznaczyć ok. 3000\$, a wszystkie auta, które nam pokazywano to po prostu rzęchy. Sprzedawcy twierdzili, że za dobry samochód trzeba zapłacić przynajmniej 6000\$. Był to istny koszmar. Potwierdziło się powiedzenie, że handlarze używanych samochodów są gorsi od koniokradów. Mieliśmy nadzieję, że gorszy dzień niż ten dzisiejszy nie spotka nas na trasie. Chodziliśmy od komis do komis, wszyscy zachwalali tylko siebie. Jeśli się ktoś nie zna na samochodach, tak jak my, to może mieć poważny problem. Każdy sprzedawca zapewniał, że ma najlepszy „towar”, pokazywał auta ze wszystkich stron, zachęcał do przejażdżki. Gdy mówiliśmy, że coś nie gra, od razu ripostowali: „no tak, ale czego można oczekiwać za 3000\$”.

No, ale przecież były też samochody po 2000\$, 1000\$ i mniej. Ciekawe czego po nich można się było spodziewać? Byliśmy głodni, zmęczeni, brudni, po wsiadaniu i wysiadaniu z tych

22/12/04 “The car buying expedition”

The next morning, after a well-slept night – thanks to Melatonin, again – we decided to buy a car-advertising magazine, because we needed something to travel by, after all. Renting a car was out of question, due to its astronomical costs. With a magazine worth about a dollar, advertising for cars worth up to \$5000, we immediately decided to pay a visit to a few car dealers. Buying a car proved not to be as easy as we had expected. We had decided to spend about \$3000 on our future means of transport, but all the cars at this price shown to us were nothing but junkers. The dealers claimed that one has to pay at least \$6000 to get a good car. It was a real nightmare. The saying that used-car dealers are worse than horse-thieves proved to be true. We only hoped that during our trip there wouldn't be a worse day than that. We were going from one dealer to another and each of them praised his offer. If somebody – like us – doesn't know much about cars, they can be in deep trouble. Each dealer assured us that he had the best choice of automobiles, showed us his cars from all possible angles, and invited us to take a ride. When we said that something was wrong, they immediately replied: “Well yeah, but what can you expect for \$3000?”

But there were also cars for \$2000, \$1000 and less. I wonder what you can expect from them. We were hungry, tired

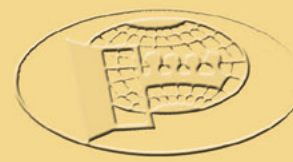


nie całkiem czystych aut. Dokuczał nam skwar ok. 30°C, chciało nam się pić, byliśmy wkurzeni, że spędziliśmy cały dzień na bezskutecznym przebieraniu w samochodach. Pod koniec dnia jednak w akcie desperacji postanowiliśmy, że naszym wybrańcem będzie Ford Taurus SE (specjalna edycja), jak się później okazało, najbardziej typowy samochód amerykański. Rocznik 98, przejechanych miał 110 tys. mil, czyli ok. 170 tys. km, 6 cylindrów, pojemność 3,2 litra. Uznaliśmy, że powinien wytrzymać podróż do LA, dokąd zamierzaliśmy jechać. Był to srebrny metalik z przyciemnionymi szybami i ogromnym bagażnikiem. Kupiliśmy go za 3160\$ z podatkiem oraz innymi opłatami manipulacyjnymi.

Niestety życie nie jest proste, nawet w Ameryce. Zaczęły się komplikacje z zarejestrowaniem go. Zazwyczaj robi to dealer – ale musieliśmy podać adres w Ameryce, gdzie mieszkamy (szczerze mówiąc nie wiem dlaczego). Na szczęście mieliśmy Bartka – mojego syna, który od kilku lat mieszka w Kalifornii. Z przyczyn nie do końca nam znanych, kolejnym problemem okazało się ubezpieczenie auta. Miało nas to kosztować 400\$ za miesiąc. Pomocy znowu szukaliśmy u Bartka. Jego żona Mary, ze swoim ubezpieczycielem szybko wszystko załatwiła. Okazało się, że za pierwszy miesiąc cena ubezpieczenia spadła o połowę, a kolejne miały być jeszcze znacznie tańsze. Była już prawie 6⁰⁰ po południu. Mieliśmy wszystkiego serdecznie dość, mimo że staliśmy się właścicielami 6-cylindrowej maszy-

and dirty after getting in and out of those not very clean cars. The heat of about 85°F was a nuisance, we were thirsty, angry that we had wasted the whole day trying to choose a car. At the end of the day in an act of desperation we decided that our “lucky choice” would be a Ford Taurus SE (special edition), as it turned out later – the most typical American car. Year ‘98, mileage 110000, 6 cylinders, 3.2 liters. We decided that it should make it to LA, which was our final destination. It was silver metallic, had darkened windows and a large trunk. We bought it for \$3169, including tax and other charges.

Unfortunately, life is not easy, not even in America. Another set of problems began when we tried to register the car. Usually a dealer takes care of it, but we were asked to give our address in the US (I don’t know why, to be honest). Luckily there was Bartek – my son, who had been living in California for a couple of years. For reasons that aren’t entirely clear to us, another problem was insuring the car. It was supposed to cost \$400 for a month. Once again, we turned to Bartek for help. Luckily his wife, Mary, together with her insurance agent, dealt with the problem very quickly. It turned out that the insurance price for the first month halved and that it was going to get even lower in the following months. It was already almost 6PM. We were sincerely fed up with everything, even though we became owners of a 6-cylinder machine about to take us to the other coast of the USA. We quickly decided to return the rental



ny, która miała nas powieźć przez całą szerokość Stanów Zjednoczonych. Szybko zdecydowaliśmy się oddać wypożyczony samochód, tym bardziej, że każdy dzień to dla nas dodatkowe 120\$ (radikalnawyżka cen ze względu na okres świąteczny).

W drodze do wypożyczalni, która była nieopodal lotniska, trafiliśmy na straszny korek. Staliśmy w nim ponad godzinę. Byliśmy wściekli. Naszą złość potęgował głód i brud. Lotnisko w Miami jest ogromne. 4 pasy ruchu prowadzące do niego były niestety również zakorkowane. Do wypożyczalni nie mogliśmy trafić z powodu fatalnego oznakowania dróg dojazdowych. Zgubiliśmy się – co było do przewidzenia. Krążyliśmy wokół lotniska przynajmniej 5 razy. Ponieważ jechaliśmy dwoma samochodami, to baliśmy się, że się pogubimy, bowiem w międzyczasie zrobiło się już ciemno i panował intensywny ruch. Mieliśmy tylko jeden funkcjonujący telefon komórkowy. Strach potęgowała myśl, że gdybyśmy się zgubili, to moglibyśmy się nie odnaleźć. Po jakimś czasie jednak dotarliśmy do wypożyczalni. A tam kolejna niespodzianka. Musieliśmy dopłacić aż 40\$ za paliwo, którego nie zużyliśmy, ale to już inna historia. Było nam już wszystko jedno. Czuliśmy się bezsilni, zrezygnowani i wściekli... W końcu załatwiliśmy wszelkie formalności i wówczas Beatce puściły nerwy. Rozpłakała się na całego. Ogarnęła ją czarna rozpacz. Chciała natychmiast wracać do Polski, do normalnego życia, do rodzinnych stron, do domu, do mamy i przyjaciół, do świąt i całej tej przedświątecznej krzątaniny.

car, all the more so because every day was costing us another \$120 (there was a severe rise in prices because of the Christmas period).

On our way to the rent-a-car office, which was close to the airport, we ran into a terrible traffic jam. We got stuck there for over an hour. We were furious. Hunger and dirt made this feeling even stronger. The Miami airport is really huge. Unfortunately, the four lanes leading to it were also jammed. Because of terrible road marking we couldn't find our way to the rent-a-car office. We got lost, which was predictable. We circled around the airport at least five times. Since we were driving two cars we were afraid of losing each other, because meanwhile it had gotten dark and the traffic was heavy. We had only one working mobile phone. The thought that we could not find each other again if we got lost only intensified our fear. After some time we finally arrived at the rent-a-car office. And there we encountered another surprise! We had to pay another \$40 for the gas that we hadn't used, but this is a different story. We didn't care any more. We felt hopeless, resigned and furious. Finally we handled all the formalities and then Betty lost her nerve. She burst into tears. She was in complete despair. She wanted to get back to Poland immediately, return to normal life, to the place where she was born, to her mother and her friends, to Christmas and the whole pre-Christmas bustle.



23/12/04 „Wielki odpoczynek”

Wreszcie „coś” zwiedziliśmy! Pojechaliśmy do Miami zobaczyć miasto. Spędziliśmy też trochę czasu na plaży w Miami Beach. Morze nie było tak ciepłe jak byśmy chcieli, ale na pewno cieplejsze niż wody Bałtyku. Niektórzy się kąpali. My jakoś nie mieliśmy ochoty. Byliśmy przemęczeni i znużeni. Woleliśmy się trochę powalęsać tak bez celu. W restauracji, w której jedliśmy lunch, spotkaliśmy pracującą tam Polkę. Miło było usłyszeć swojski język. Opowiadała trochę o swojej dwuletniej tułaczce po Stanach i planach zarobienia trochę na studia. Mówiła też, że uczy się hiszpańskiego, że tęskni za krajem. Życzyliśmy jej powodzenia i pojechaliśmy zobaczyć najbardziej snobistyczną dzielnicę Pool Harbour, w której są najdroższe hotele, sklepy i w ogóle wszystko. Tu podobno też można było spotkać gwiazdy Hollywood, ale niestety żadnej nie napotkaliśmy.

Miami Beach bardzo nam się podobało. Szczególnie to, że było przepięknie położone nad samym morzem z wysokimi palmami i kilometrami ciągnącymi się przepięknymi plażami. Także architektura miasta, w której dominowało art deco, również sprawiało niesamowite wrażenie. Kolorowe budynki, ażurowe wejścia i klimaty, dzięki którym miejsce to było wielokrotnie filmowane na potrzeby różnych hollywoodzkich produkcji.

Wróciliśmy wcześniej do Gail. Długo rozmawialiśmy z jej synem, który wrócił z Japonii i wiele miał do powiedzenia. Słuchaliśmy uważnie, bo przecież jest to kraj, który też znajduje się na naszej liście wypraw.

23/12/04 “The great rest”

At last we did some sightseeing! We went to Miami, to see the city. We spent some time on the beach in Miami Beach. The sea wasn't as warm as we would like it to be, but it was definitely warmer than the Baltic. Some people were taking a bath. We didn't feel like it, somehow. We were tired and bored. We preferred to stroll around with no particular purpose. In a restaurant where we had lunch we met a Polish woman who worked there. It was nice to hear a familiar language. She told us a little about her two-year wandering across the States and her plans to earn some money for her studies. She also said that she was learning Spanish and that she missed the country. We wished her luck and went to see the most snobbish section of Miami – Pool Harbor, full of the most expensive hotels, shops and everything you can think of. It is also said that you can run into Hollywood stars here, but unfortunately we didn't see any of them. We liked Miami Beach a lot, especially its beautiful situation – just by the sea, with tall palms and wonderful beaches stretching for miles. We were also very impressed by the mostly art-deco architecture of the city. Colorful buildings, pierced entrances and the atmosphere, which makes Miami Beach a place so often filmed for the sake of various Hollywood productions.

We got back to Gail's place earlier than planned. We spent a lot of time talking to her son, who had just got back from Japan and had plenty to tell us. We listened carefully, after all Japan is one of the countries on our list of future travel destinations.

**24/12/04 „Floryda Keys”**

Specjalnie się nie spiesząc wyjechaliśmy od Gail ok. 9⁰⁰. Cel to Key West, który oddalony jest od Miami o jakieś 4 godziny drogi. Zatrzymaliśmy się na pobliskiej stacji benzynowej, aby zatankować. Jakie było nasze zdziwienie, gdy nie mogliśmy znów zapalić samochodu. Na szczęście jeden z mechaników z sąsiedniego warsztatu, widząc naszą bezradność, zechciał nam pomóc. Przez ponad godzinę próbował różnych sztuczek, aż wreszcie samochód odpalił. Już zaczynaliśmy przeklinać ten zakup i wyrzucać sobie, że nie sprawdziliśmy go przed kupnem u mechanika, ale na szczęście wszystko skończyło się jak na razie dobrze.

Floryda Keys to najdalej wysunięte na południe miejsce USA. To raj dla nurków, ornitologów, kajakarzy i wędkarzy. Tu w spokojnych zatokach można podziwiać bogatą tropikalną roślinność i setki, a może tysiące gatunków ptaków. Przejechaliśmy przez Key Largo, znane dzięki filmowi o tym samym tytule, Grassy Key i inne miasteczka. Po 4 godzinach – zgodnie z planem – dotarliśmy do Key West. Zwiedziliśmy dom Hemingwaya – wspaniałą, typowo kolonialną budowlę, w której autor takich bestsellerów jak: „Pożegnanie z bronią”, „Stary człowiek i morze”, czy „Komu bije dzwon”, mieszkał pod jednym dachem z ponad 30 kotami. Im zresztą zapisał cały swój majątek. Niestety, pobliska słynna latarnia (ta od „starego człowieka”) była nieczynna z powodu remontu.

24/12/24 “Florida Keys”

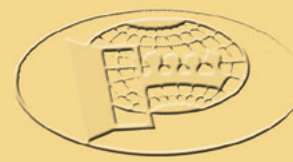
Without rushing too much, we left Gail’s house at about 9AM. Our destination was Key West, about four hours’ drive from Miami. We stopped at a gas station nearby to fill up the tank. To our great surprise, we were unable to start the car again. Luckily, one of the mechanics from a neighboring garage, who must have noticed our hopelessness, offered to help us. He tried many different tricks for over an hour and finally the car started. We had been just about to curse at our purchase and reproach ourselves for not having it checked by a mechanic before buying, but luckily all ended well, so far.

Florida Keys is the furthest place south in the USA. It’s a paradise for divers, ornithologists, canoeists and fishermen. In its calm bays one can admire ample flora and hundreds, or maybe thousands of bird species. We drove through Key Largo, well-known thanks to a movie with the same title, Grassy Key and other cities. After four hours – according to the plan – we reached Key West. We visited Hemingway’s house – a wonderful, typically colonial building, where the author of such best-sellers as “Farewell to Arms”, “The Old Man and The Sea” or “For Whom the Bell Tolls” lived with 30 cats under one roof. By the way, it was them who inherited all his belongings. Unfortunately, the neighboring lighthouse (the one from “The Old Man and The Sea”) was closed due to renovation.



Tropik i duża wilgotność spowodowały, że poczuliśmy zmęczenie. Wyruszyliśmy w stronę „centrum”, które wyglądało tak jakby się w nim czas zatrzymał. Stare, piękne domy, uliczki wyłożone brukiem, knajpki, kawiarnie powalały swoim urokiem. Miasteczko tysiąca barw. Domki i hacjendy pomalowane w pięknych pastelowych kolorach, otoczone palmami i tropikalną roślinnością stanowiły bajeczny widok. Obowiązkowo musieliśmy spróbować lemon-pie, czyli ciastka z masą z limonek – o intrygującym intensywnym słodko-kwaśnym smaku, który mocno odświeżał. Po południu odwiedziliśmy Gosię, córkę znajomych, poznanych w samolocie lecącym na Florydę. Wieczorem wybraliśmy się wspólnie do 5-gwiazdkowej restauracji Cafe Markesa na drinka i małe co nieco. Tam za barem królowała Gosia. Uwijała się jak w ukropie. Trzeba przyznać, że szło jej znakomicie. Gosia to przedsiębiorcza, ładna, zgrabna, bystra i niezwykle atrakcyjna młoda kobieta. Adorowali ją wszyscy faceci siedzący przy barze. Atmosfera w lokalu super. Po paru drinkach zwolniliśmy miejsce, gdyż na dworze czekali kolejni goście i wybraliśmy się na nocny spacer. Key West w ten wigilijny wieczór tętniło życiem mimo późnych godzin wieczornych. Mogło by to znaczyć, że różne są sposoby spędzania wigilijnego wieczoru (raczej nie spotykane w Polsce).

We felt oppressed by the tropical heat and high humidity. We headed for the “city center”, which looked as though time had stopped. Beautiful old houses, paved little streets, restaurants and cafés knocked us down with their charm. A city of a thousand colors. Houses and haciendas painted in beautiful pastel colors, surrounded by palms and tropical flora offered a fabulous view. We obviously had to try the lemon-pie, a cake filled with lime mousse, which has an intriguing, intensive, sour-sweet and very refreshing taste. In the afternoon we visited Gosia, our acquaintances’ daughter, whom we met on the plane to Florida. In the evening, we all went out for a drink and a small snack. We went to a five-star restaurant Cafe Markesa, where Gosia was calling the shots behind the bar. She moved like lightning and one has to admit that she was doing a perfectly good job. Gosia is an entrepreneurial, pretty, shapely, smart and very attractive young woman. Every man sitting at the bar adored her. And the atmosphere in the restaurant – fantastic! We left the place after a few drinks, because there were more guests waiting outside and we went for a night stroll. Key West was vibrant with life on that Christmas Eve, despite the late hour. It could mean that there are many different ways of spending Christmas Eve (rather unusual in Poland).



25/12/04 „Kanały w Fort Lauderdale”

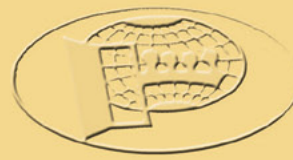
Naszym dzisiejszym celem był Fort Lauderdale. Dzięki płatnej autostradzie „I-75” dojazd tam zajął nam zaledwie 4 godziny. Zatrzymaliśmy się w starej, historycznej części miasta, poprzecinanej kanałami, z długim zadrzewionym deptakiem i knajpkami. To wspaniałe otoczenie działało kojąco na zmęczonych – jak my – podróżników. Zrobiliśmy 2-godzinną przerwę, aby posłuchać dobrej muzyki, zjeść coś smacznego, podziwiać piękne, luksusowe jachty, uśmiechniętych ludzi i cudowne małe skwerki zieleni z rzeźbionymi ławeczkami i małymi daszkami. Sceneria ta zrobiła na nas niesamowite wrażenie. Czuliśmy się niemal jak w Amsterdamie. Nad kanałami śliczne domki, ogródki, po prostu jak w bajce – przed domami jachty warte pewnie tyle samo co domy. Byliśmy zauroczeni, ale musieliśmy ruszać dalej. Wyjeżdżając, pokręciliśmy się jeszcze trochę po pięknych uliczkach i mostkach, a tak przy okazji to znowu trochę pobłądziliśmy. Bez dokładnej mapy można się tu zgubić na dobre.

Tak więc skierowaliśmy się na północ drogą A1A, która biegła tuż przy samej plaży. Po jednej stronie morze i piasek, a po drugiej nadmorskie knajpki pełne głośnej muzyki, ludzi i wszystkiego czego dusza zapagnie. Zaraz po 17⁰⁰ zrobiło się jak zwykle ciemno. Jechaliśmy dalej na północ. Nagle lunął straszny deszcz. Nasze wycieraczki okazały się prawie bezużyteczne.

25/12/04 “Fort Lauderdale canals”

Our today's destination was Fort Lauderdale. Thanks to the I-75 tollway it took us only four hours to get there. We stopped in an old, historical part of the city, traversed by canals, with a long, tree-lined promenade and restaurants. This wonderful surrounding had a soothing effect on such tired travelers as ourselves. We took a two-hour break to listen to some good music, eat something tasty, and admire the beautiful, luxurious yachts, the smiling people and the wonderful little green areas with sculptured benches and tiny roofs. This scenery made a tremendous impression on us. We felt almost like in Amsterdam. By the canals there were beautiful houses, little gardens, just like in a fairy-tale! In front of the houses we could see yachts worth probably as much as the houses themselves. We were spellbound, but we had to go on with our journey. While we were leaving the city, we drove a little bit more around the beautiful streets and bridges, getting a bit lost once again on that occasion. You really need a detailed map, if you don't want to get lost for good here.

So we headed north on the A1A highway, running just along the beach. On one side there was the sea and the sand, on the other the seaside cafés full of loud music, people and everything you may need. Immediately after 5PM, it turned dark as usual. We drove further north. Suddenly heavy rain started to



Byliśmy zmęczeni, chciało nam się spać, a jak na złość nie mogliśmy znaleźć żadnego motelu. Wieczorem wjechaliśmy do miasteczka Stuart, które zaszokowało nas niekończącym się szpalerem rozświetlonych, przyozdobionych kolorowymi chorągiewkami, banerami i reklamami komisów samochodowych po obu stronach drogi wjazdowej. Widok po prostu nas zamurował. To było nie do wiary, żeby w tak małej miejscinie skupiło się tylu „handlarzy” samochodów. Musiało to być niewątpliwie największe centrum handlu pojazdami mechanicznymi na Florydzie...

Tu dopiero natrafiliśmy na hotel Ramada, gdzie, po zainstalowaniu się w jednym z niewielu wolnych pokoi, od razu skorzystaliśmy (mimo deszczu) z podgrzewanego dużego basenu na zewnątrz. Po ciężkim dniu można sobie wyobrazić, jak przyjemnie było popływać w ciepłym basenie. Na kolację kupiliśmy trochę przekąsek, butelkę szampana i w romantycznej atmosferze, którą sobie stworzyliśmy, spędziliśmy wieczór pierwszego dnia świąt.



fall. Our wipers became almost useless. We were tired, sleepy and, to make it worse, we couldn't find any motel. In the evening, we entered the city of Stuart, which shocked us with an unending line of car dealer shops, shining with lights, adorned with colorful flags, banners and car dealer advertisements placed on both sides of the entry road. Our jaws literally dropped wide open when we saw that. It was unbelievable that there were so many car dealers in such a small city. Without a doubt, it must have been the largest trade center for mechanical vehicles in Florida...

It was here that we at last found a hotel – the Ramada, and after checking in to one of the few free rooms, we immediately (despite the rain) made use of the heated pool outside. One can imagine how nice it was to swim in a warm pool after a hard day. We bought a few snacks and a bottle of Champaign for dinner, which allowed us to spend Christmas Day in a romantic atmosphere.



26/12/04 „Lot na księżyc”

Rano mimo szalejącego sztormu (ulewa i wichry) pojechaliśmy do Cape Canaveral. Temperatura spadła o dobrych kilkanaście stopni. Myślę, że było ok. 12-13°C. Porównując z 25°C z dnia poprzedniego to spora różnica. W tym miejscu należy koniecznie odnotować, że zabraliśmy tylko letnie rzeczy w błogim przekonaniu, że na Florydzie jest zawsze ciepło. Tak więc musieliśmy znosić przenikliwy ziąb, aby zobaczyć, skąd startują rakiety kosmiczne. Na szczęście przestało padać! Cape Canaveral to bardzo popularne i wysoce komercyjne miejsce. Za jedyne 30\$ (od osoby) można było zobaczyć rakiety, silniki i wszystko co związane jest z kosmosem, m.in. rampy startowe wahadłowców, a także filmy IMAX ze stacji orbitalnej wyświetlane na potężnym ekranie. Amerykańska baza kosmiczna robiła wrażenie, choć nie mieliśmy czasu, aby się wybrać na 2,5-godzinną turę autokarem po całym terenie (mimo iż była wliczona w koszt biletu). Musieliśmy bowiem jechać do Susan i Howarda – kolejnych servasowców, którzy mieszkali jakieś 15-20 min. jazdy samochodem na północ – w Titusville, a do których nie chcieliśmy przyjeżdżać zbyt późno. Jakież było nasze ogromne zdziwienie, gdy okazało się, że oboje postanowili zorganizować przyjęcie z okazji naszego przyjazdu. Zaprosili ok. 20 osób z różnych stron świata. Było kilka osób z Niemiec, Wiednia, Sycylii, północnych Włoch, Szwajcarii, Australii

26/12/04 “A flight to the moon”

In the morning, despite the heavy storm (downpour and gale), we went to Cape Canaveral. The temperature dropped considerably. I think it was about 55°F. It's a big difference compared to 80°F the day before. At this point, it's important to note that we had taken only summer clothes with us in the optimistic belief that it's **always** warm in Florida. So, we had to endure the biting frost in order to see the place where rockets take off. Luckily, it stopped raining! Cape Canaveral is a very popular and highly commercial place. For only \$30 (per person), you can see rockets, engines and all that has to do with space, like space shuttle launch platforms and IMAX movies from an orbital station, displayed on an enormous screen. The American shuttle base made quite an impression on us, despite the fact that we didn't have time to take a three-hour bus tour around the whole complex (even though it was included in the ticket price). It was because we had to go to Susan and Howard – next Servas members, who lived about 15-20 minutes' drive to the north, in Titusville – as we didn't want to arrive too late at their place. To our great surprise, it turned out that they had decided to organize a party to celebrate our arrival. They had invited about 20 people from different parts of the world. There were a few people from Germany, Austria, Sicily, northern Italy, Switzerland, Australia and – of course – there



i oczywiście Waldek z Polski, który prowadził polską restaurację w Titusville, do której zaprosił nas na następny wieczór. Było super. Dużo jedzenia i picia, a przede wszystkim świetne międzynarodowe towarzystwo. Zostaliśmy zaproszeni na Sycylię, do Monaco, a także do Wiednia. Mamy nadzieję, że będziemy w stanie kiedyś odwiedzić wszystkie te interesujące osoby. Ok. 1⁰⁰ w nocy, po prostu padliśmy na nasze wspaniałe i świeżo przygotowane łóżce.

Dom Suzan był piękny i obszerny. Z ogromnego ogrodu, w którym rosły pomarańcze, mandarynki, kokosy i banany rozpościerał się cudowny widok na wodę i przepływające nieopodal łodzie i jachty. W domu na każdym kroku zauważyć można było mnóstwo starych bibelotów, jak na przykład przybory do makijażu i czesania chyba z początku XIX w. Nie było zbyt wielu mebli, ubrania w garderobie, zaś niepotrzebne rzeczy w osobnym pokoju – wszystko poukładane w kosteczki. W całym domu mnóstwo cukierków, czekoladek w pięknych miseczkach oraz wiele dekoracji świątecznych, nie mówiąc o choince, na której same ozdoby to istne minidzieła sztuki. Susan ma 62 lata, Howey też coś koło tego. Oboje są na emeryturze, więc mają czas, aby pielęgnować dom i ogród. Tak jak my kochają podróże, o których potrafią interesująco i barwnie opowiadać. Cieszę się, że na nich trafiliśmy. Mamy nadzieję, że niebawem odwiedzą nas w Polsce.

was Waldek from Poland, who ran a Polish restaurant in Titusville, where he invited us for the following evening. The party was great. There was plenty of food and drinks and – above all – a splendid company of people from all over the world. We were invited to Sicily, Monaco and Vienna. We hope that we will be able to visit all those interesting people in the future. At 1AM we simply dropped on our wonderful, freshly made bed.

Suzan's house was beautiful and spacious. It had a huge garden with oranges, mandarins, coconuts and bananas, from which there was a great view over the water, with boats and yachts sailing nearby. All around the house there were old knick-knacks, such as mascara and combing accessories, probably from the beginning of the 19th century. There wasn't much furniture in that house and clothes were in the wardrobe, while spare garments – all neatly folded – were kept in a separate room. There were lots of candies and chocolates offered in beautiful little bowls placed all around the house. There were also many Christmas decorations, not to mention the Christmas tree, adorned with things one can easily call little works of art. Susan is 62 and Howey is somewhere around that age. They are both retired so they have time to take care of the house and the garden. Just like us, they love traveling and they can talk about their journeys in an interesting and colorful way. I'm glad we've met them. We hope they are going to visit us in Poland soon.



27/12/04 „Misja na Marsa”

Następnego dnia wybraliśmy się do Disneylandu, a dokładnie do Epcot Center. Zanim jednak tam dotarliśmy, wydarzyły się rzeczy, o których koniecznie musimy napisać. Ok. 30 km od domu Susan, stojąc przed bramką płatnej autostrady, usłyszeliśmy dziwny odgłos. Dochodził on spod naszego samochodu. Myśleliśmy, że na coś najechaliśmy, ale po chwili usłyszeliśmy zgrzyt silnika, po czym coś spadło na asfalt z metalicznym hurgotem. Nasz samochód odmówił posłuszeństwa. Zepchnęliśmy go na pobocze. Okazało się, że pasek klinowy się zerwał i połamał kawałek czegoś, czego nie mogliśmy zidentyfikować, bo nie znamy się na samochodach. Nie wiedząc, co robić, zadzwoniliśmy do naszych nowych servasowskich przyjaciół. Nie tylko zjawili się oboje, ale przyjechali dwoma samochodami, aby udostępnić nam jeden do dalszej jazdy. Stwierdzili bowiem, że „przecież nie powinniśmy tracić ani jednego dnia naszych wakacji”. Cudowni, serdeczni ludzie. Poczekałaliśmy z nimi, aż przyjedzie

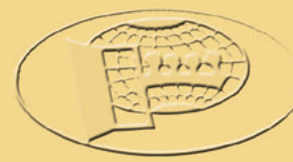


27/12/04 “Mission on Mars”

On the next day we set off for Disneyland, or more precisely for Epcot Center.

But before we got there, there were some events we feel obliged to write about. We were standing in front of a turnpike tollbooth about 20 miles away from Susan's house when we heard a strange sound. It was coming from underneath our car. First we thought we had driven over something, but a moment later we heard a rasp of the engine and then something fell to the asphalt with a metallic noise. Our car refused to

work. We pushed it to the side of the road. It turned out that the fan belt broke and damaged a piece of something we – not being experts on cars – found difficult to identify. Not knowing what to do, we called our new Servas friends. Not only did both of them turn up, but they also came in two cars, so that we could use one of them to continue our trip. They did it because they came to the conclusion that “after all, we shouldn't waste a single day of our vacation”. Wonderful,



laweta i zabierze samochód, co trwało ok. godziny. Tak więc dopiero o 14⁰⁰ byliśmy w Epcot Center, czyli Disneyland dla trochę starszych dzieci – takich jak my.

Pierwsze słowa, które wypowiedziała Betka, gdy wjechaliśmy na teren krainy Disneya, to: „ale kasę biją, ja nie mogę”. Wjazd – parking 8\$ i około 50\$ za osobę za wejście do każdego z disneyowskich „światów”. A jest ich tutaj 6. Można kupić pakiet na 5 dni za 280\$ (samo wejście). Uwzględniając jednak hotel, wyżywienie i inne wydatki – trzeba liczyć min. 1000\$ na osobę za 5 dni. Biorąc pod uwagę średnią rodzinę 4-osobową, to wychodzi 4000\$ za 5 dni pobytu w słynnym Disneylandzie. Mimo tych ogromnych kosztów, w sezonie przyjeżdżają tu tłumy! Wiele rodzin oszczędza latami, żeby spędzić tu tygodniowy urlop z dziećmi. Niestety, nie był to dobry czas na „odwiedzanie” Disneylandu. Był to okres świąteczny i dzieciaki miały wolne. Ludzi było multum.

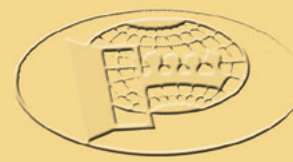
Epcot to miejsce, w którym króluje nauka. Mimo natłoku turystów udało nam się skorzystać z kilku atrakcji. Jedną z nich był „rozwój cywilizacji”. Wagonikami obwożono nas „w czasie”, pokazując m.in. rozwój od papirusa aż po internet. Wybraliśmy się też na film 3D, w którym nie tylko jest trójwymiarowy obraz, ale również doświadczają się takich efektów, jak chlapiąca woda, wiatr, ruszające się krzesła, ocieranie się czegoś o nogi w pełnej ciemności – super. Nowość to Misja Kosmiczna na Marsa, na którą musieliśmy dość długo

warm-hearted people. We waited together for the hauler to come and take the car, which took about an hour. As a result, it was only at 2PM that we arrived in Epcot Center – a Disneyland for a bit older children, just like us.

The first words Betty uttered when we entered Disney World were: “My god! They are making a killing here!”. Entrance – parking \$8 and about \$50 per person for entering any of the Disney “worlds”. There are six of them here, by the way. You can buy a ticket for 5 days for \$280 (entrance only). But when we add the hotel, the food and other expenses, it makes at least about \$1000 per person for 5 days. For an average family of four, it’s \$4000 for a 5 days’ stay in the famous Disneyland. Despite these tremendous costs, huge crowds come here in season! Many families save for years to spend a week’s vacation here together with their children.

Unfortunately, it wasn’t the best time to visit Disneyland. It was the Christmas period so the children were off school. The crowds were immense.

Epcot is a place where science rules. In spite of the flood of tourists, we were able to take in a few attractions. One of them was a display of the development of civilization. We “traveled in time” in little wagons to see e.g. the development from papyrus to the Internet. We also went to see a 3D film, which not only offered three-dimensional effects but also allowed us to experience things like splashing water, the wind, moving

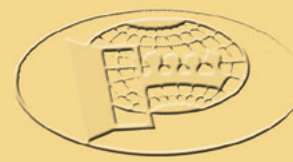


czekać, ale było warto. Niesamowite wrażenia. Cztery osoby wsiadają do kabiny, przypinają się pasami i zaczyna się jazda. Każdy przed sobą miał ekran i mnóstwo pokręteł jak w statku kosmicznym. W pewnym momencie fotele przechyliły się do pozycji leżącej i zaczęło się odliczanie. Przeciążenie przy starcie co prawda nie było takie jak w rzeczywistości, ale i tak czuliśmy, jak krew gdzieś odpływa w nieznane, a policzki rozpływają się na boki. Później „lot” był bardziej stabilny. Całą „podróż” obserwowaliśmy na monitorach. Załoga musiała współpracować ze sobą. Każdy pełnił jakąś funkcję: Betka np. była mechanikiem. Na komendę musiała wypuścić powietrze z odpowiednich komór statku albo naprawić jakąś część. Ja byłem kapitanem i też musiałem wykonywać jakieś czynności. „Lądowanie” na Marsie nie było proste. Turbulencje, zawirusowania i takie tam sprawy... W końcu „wylądowaliśmy” na samej krawędzi ogromnej przepaści. Byliśmy o włos od potwornej katastrofy. Ale – jak było do przewidzenia – wszystko zakończyło się szczęśliwie! Po wyjściu z tej maszyny Beata było niedobrze i trochę kręciło jej się w głowie – astronautą to chyba nie będzie.

Próbowaliśmy jeszcze kilku innych atrakcji. Wszystkiego jednak w jeden dzień nie dało się przejść, zwłaszcza że przyjechaliśmy bardzo późno, a ponadto wszędzie trzeba było stać w kilometrowych kolejkach. Cały teren Disneylandu jest tak wielki jak niemal pół Warszawy. Jest on podzielony na Magic

chairs, something rubbing on our legs in complete darkness – great! A novelty was a Space Mission to Mars, which required us to wait quite a long time, but it was worth it. Incredible impressions! Four people get into a cabin, fasten their seatbelts and the ride begins. Everyone had a screen and a lot of buttons in front of them, just like in a spaceship. At one moment, the seats moved into a lying position and the countdown started. Although the overload at the start wasn't as strong as in reality, we still felt the blood flowing out of our bodies and our cheeks moving apart. Then the “flight” became more stable. We observed the whole “journey” on monitors. The crew had to cooperate and everyone had their duties to attend to: Betty, for example, was a mechanic. At a command, she was supposed to let the air out of the appropriate chamber of the shuttle or to make some necessary repairs. I was the captain and I also had to perform some activities. “Landing” on Mars wasn't simple. Turbulence, rotations and this kind of things... Eventually we “landed” on the very edge of a giant precipice. We were a moment away from a terrible tragedy. But – what was predictable – there was a happy ending to our journey! After leaving the machine Beata felt a bit sick and slightly dizzy – so I guess she won't be an astronaut.

We tried out a few more attractions. However, it was impossible to see everything in one day, especially that we arrived much too late and one had to wait in mile-long lines to get any-



Kingdom – czyli świat Myszki Miki i innych bajkowych stworów, Epcot Center, w którym dziś byliśmy, Disney MGM Studio, gdzie można zobaczyć, jak powstają bajki, Disney's Animal Kingdom – czyli superzoo oraz Świat Mórz i Oceanów. Jest też Disney Lagoon – gdzie można spędzić kilka dni korzystając z wszelakich atrakcji wodnych oraz Downtown – czyli miasteczko Disneylandu.

W Epcot można zobaczyć też miniatury krajów, takich jak: Meksyk, Norwegia, Chiny, Niemcy, Włochy, USA, Japonia, Maroko – gdzie zjedliśmy pyszny lunch, Francja, Anglia i Kanada. Zbudowane są w formie jakby małych skwerków symbolizujących najważniejsze budowle i miejsca w danym kraju lub wręcz minimiasteczek, do których można wejść i poczuć się jak np. w autentycznym Marakeszu (Maroko). Nawet ludzie zatrudnieni w tych miejscach byli danej narodowości. Tak więc Epcot to miejsce doznań i poznawania świata, historii, cywilizacji, a także kultury różnych narodów.

Do domu naszych gospodarzy dotarliśmy dopiero ok. 23⁰⁰. Po raz kolejny zgubiliśmy drogę. Oznakowanie amerykańskich dróg szczególnie dla cudzoziemców nie jest do końca zrozumiałe. Trudno się połapać, gdy jest zjazd np. na wschód/zachód, a my chcemy jechać na południe – i jak tu być mądrym. Kolejny więc raz pojechaliśmy w złym kierunku, ale i tym razem w końcu trafiliśmy na miejsce.

where. The whole Disneyland complex is almost as big as half of Warsaw. It is divided into the Magic Kingdom – the world of Mickey Mouse and other cartoon creatures, the Epcot Center – which we visited today, the Disney MGM Studio – where you can see how cartoons are made, the Disney's Animal Kingdom – a wonderful zoo, and The World of Seas and Oceans. There is also the Disney Lagoon, where you can spend a few days taking in various water attractions and the Downtown – the Disneyland shopping center.

In Epcot one can also see miniaturized countries, such as: Mexico, Norway, China, Germany, Italy, the USA, Japan, Morocco (where we had a delicious lunch), France, England and Canada. They have the form of small green areas symbolizing the most important buildings and places in the particular country or even miniature cities that you can visit and feel like e.g. in Marrakech (Morocco). Even the people hired in those places were of the corresponding national origin. So, Epcot is a place where you can have great experiences and learn about the world, history, and civilization as well as about cultures of different nations.

It was already about 11PM when we got to our hosts' house. We had gotten lost again. The marking of American roads is not fully clear, especially for foreigners. It is difficult to find the right way when there is e.g. an east-west exit and we want to go to the south. Tricky, isn't it? So once again we took the wrong direction, but again we finally managed to get home safely.

**28/12/04 „Magiczne Królestwo”**

Tym razem już o 11⁰⁰ byliśmy w Magic Kingdom. Tysiące samochodów. Parkingi wielkości małego osiedla podzielone były na sektory. Jeśli nie zapamiętałeś lub nie zapisałeś, gdzie zaparkowałeś samochód, to można go było później szukać godzinami. I tym razem tłumy szturmowały wejście. Już przeczuwaliśmy, co musi się dzieć w środku. Ale nie było odwrotu. Betka uparła się, że musi iść do prawdziwego Disneylandu – to było jej marzenie od dzieciństwa. Jednak już po chwili wchodząc na ten ogromny teren, wiedzieliśmy, że nie był to najlepszy pomysł. Przed nami roztaczała się rzeka wrzeszczących, płaczących, krzyczących, rozbrykanych, zagubionych, śmiejących się dużych i małych dzieci oraz oczywiście ich rodziców. Czuliśmy się jak w ulu. Od razu postanowiliśmy zobaczyć film 3D, ale okazało się, że musimy „zaklepać kolejkę” i przyjść za 2 godziny, bo dopiero wtedy będziemy mogli wejść.

Magiczne Królestwo jest niesamowite. Główna ulica, na środku której stoi wspaniała fontanna, prowadzi do zamku – tak, tego słynnego z filmów Disneya, a stąd 4 drogi wiodą już do: świata przygód, świata fantazji, świata przyszłości, świata wodnego oraz miasta Myszki Miki. Każdy z tych światów jest inny, inne są budynki, inne środowisko oraz oferowane różne atrakcje dla maluchów i starszych dzieci. My „zaliczyliśmy” tylko 2 z nich – jedna to film 3D, a druga to wyprawa w prze-

28/12/04 “The Magic Kingdom”

This time we were in the Magic Kingdom already at 11AM. Thousands of cars and parking lots the size of a small housing estate, divided into sectors. If you didn't remember or write down where you had parked your car, you could be looking for it for a few hours. Again, the entrance was crowded, so we could only imagine what was happening inside. But there was no retreat. Betty persisted in going to the real Disneyland – it was her childhood dream. But just a moment after entering that enormous area we realized that it hadn't been the best idea. In front of us there was a stream of big and small children, screaming, crying, shouting, misbehaving, some of them lost, others laughing, and there were also their parents, of course. We felt like we were in a beehive. We immediately decided to see a 3D movie, but it turned out that we had to “book a waiting place” and come back two hours later, because only then would we be able to get in.

The Magic Kingdom is incredible. The main street, with a great fountain in the middle, leads to a castle – yes, the famous one from Disney's movies, and from there the four roads lead to: the World of Adventure, the World of Fantasy, the World of Future, the Water World and the Mickey Mouse City. Each of these worlds is different. It has different buildings, different surroundings and a different offer of attractions for younger



szłość i przyszłość oglądana na ekranie, który otaczał nas dookoła, a my staliśmy w środku. Ciekawe efekty...

Po superświątecznej paradzie wszystkich możliwych sławnych postaci bajkowych postanowiliśmy wrócić wcześniej do domu. Zaprosiliśmy naszych przyjaciół do restauracji polskiej, gdzie bawiliśmy się doskonale, tym bardziej, że Waldek, właściciel, specjalnie się o nas zatroszczył. Imprezowaliśmy do północy, po czym zmęczeni poszliśmy spać.

Do tej pory (a minęło ponad 20 lat od otwarcia), Disneyland w Orlando (FL) odwiedziło „zaledwie” 15% Amerykanów. To prognozuje, że biznes ten będzie się jeszcze długo kręcił.

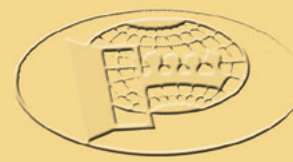


and older children. We “covered” only two of them – one was the 3D movie and the other was a trip into the past and the future, which we watched on a surrounding screen while standing in the middle. Interesting effects...

After an outstanding Christmas parade of every Disney cartoon character you can think of, we decided to get back home earlier. We invited our friends to the Polish restaurant, where we had a great time, even more so because Waldek – the owner – took special care of us.

We partied until midnight and then – once we got tired – we went to sleep.

So far (and it’s been 20 years since the opening) “only” 15% of Americans have visited the Disneyland in Orlando, FL. It allows us to think that the business will be booming for many years to come.



29/12/04 „Przejażdżka po plaży”

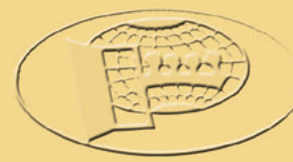
Rano pojechałem odebrać samochód. Naprawa kosztowała nas ok. 500\$. Zrobiliśmy kilka zdjęć na brzegu Atlantyku i kilka w ogrodzie Susan na pamiątkę wspólnie spędzonych wspańiałych chwil. Jak tylko się zapakowaliśmy i ruszyliśmy w drogę okazało się, że jakiś dziwny metaliczny hałas dochodzi gdzieś spod auta. Pojechaliśmy do mechanika. Sprawdził chyba z godzinę. Nic nie znalazł i uznał, że to nic poważnego. Musieliśmy mu wierzyć. Dopiero po 12⁰⁰ wyruszyliśmy w dalszą podróż. Zmierzaliśmy na północ w kierunku Jacksonville. Po drodze zatrzymaliśmy się w outlecie. Outlety to wielkie centra handlowe, które oferują markowe ubrania po supercenach. Niestety, outlet zabiera mnóstwo czasu i pieniędzy. W międzyczasie okazało się, że w Grand Canyon spadł śnieg i nie mamy po co tam jechać. Od razu zmieniliśmy nasze plany i postanowiliśmy, że nie będziemy się forsować i pojedziemy trochę wolniej spędzając mniej czasu w samochodzie. Udaliśmy się zatem do Daytona Beach, które słynie z wyścigów samochodowych. Można tam również bezkarnie jeździć autem po plaży! Tej rozrywki nie mogliśmy sobie odmówić, szczególnie, że nic nie kosztowała! Jak widać mogą być rzeczy niemożliwe, które są prawdziwe...

Po dobrym posiłku ruszyliśmy na zachód, bo przecież nasz punkt docelowy to Los Angeles. Wieczorem zatrzymaliśmy się w jakiejś miejscinie na nocleg. Zrobiliśmy spożywcze zakupy i dzień zakończyliśmy w hotelu popijając dobre wino.

29/12/04 “A drive by the beach”

In the morning I went to get the car back. The repair cost about \$500. We took a few photos on the Atlantic shore and a couple of them in Susan's garden to commemorate the wonderful days spent together. As soon as we packed and set off on our way, it turned out that there was a strange metallic noise coming from underneath our car. We went to the mechanic. He spent an hour or so checking it and found nothing, so he concluded that it wasn't anything serious. We had to believe him. It was only at noon that we resumed our journey. On our way we stopped at an outlet mall, a large commercial center offering quality clothes at fantastic prices. Unfortunately, such a place takes up a lot of time and money. It turned out that it was snowing in the Grand Canyon area so it was no use going there. We immediately changed our plans and decided not to rush too much and to go a little bit slower, spending less time in the car. So we went to Daytona Beach, famous for its car races. What is more, you can feel free to drive your car on the beach there! We couldn't resist trying out this kind of entertainment, especially that it was for free! As you can see, some impossible things are real...

After a good meal we headed west, our final destination was Los Angeles, after all. In the evening we stopped in some small town to spend the night. We did some groceries and we called it a day in a hotel, drinking some fine wine.



30/12/04 „Dom dla ludzi i kotów”

Wstaliśmy rano na śniadanie i zobaczyliśmy, że nasz Ford Taurus SE wygląda jak zabawka pośród innych samochodów znajdujących się na parkingu. Ludzie podróżują tu raczej truckami, dużymi vanami, niemal z całym dobytkiem, nie to co my Europejczycy – jedna walizka na osobę i to wszystko.

W drodze do Bristolu zatrzymaliśmy się w Tallahassee, które słynie przede wszystkim z tego, iż posiada 2 uniwersytety. Studiuje na nich ponad 28 tys. studentów. Ponieważ był to okres świąteczny, miasto to wyglądało trochę jak wymarłe. Za namową przeuroczych pracowników informacji turystycznej wjechaliśmy na 22 piętro ratusza na przestronny taras widokowy połączony z galerią i kawiarnią. Stamtąd mogliśmy podziwiać panoramę miasta. To co nas od razu uderzyło, to ogromne połacie lasów. Otaczało nas morze drzew. Uświadomiliśmy sobie, że nie jesteśmy już gdzieś na wybrzeżu ani na pustyni, tylko przesunęliśmy się w głąb lądu. W grudniu panuje tu zima, nie znaczy to jednak, że jest zimno. Drzewa wyglądają jak u nas jesienią, mienią się kolorami liści i stwarzają atmosferę ciepła.

Dość szybko dojechaliśmy do miasteczka/osady Bristol, gdzie mieliśmy zaplanowane spotkanie z kolejnym gospodarzem z Servasu. Było jeszcze wcześnie. Zastanawialiśmy się, czy jechać dalej i wynająć coś nad morzem, czy zostać, gdyż

30/12/04 “The house for people and cats”

When we woke up for breakfast in the morning, we realized that our Ford Taurus SE looked like a toy among all the other vehicles in the parking lot. In this country, people prefer to travel by trucks or large vans, along with almost all of their possessions. It is totally unlike us Europeans – just one suitcase per person and that's it.

On our way to Bristol we stopped in Tallahassee, famous mainly for its two universities with over 28000 students. Because of the pre-Christmas period, the city looked almost deserted. Following the advice of some people from the tourist information we went to the 22nd floor of the city hall, to a spacious terrace adjacent to a gallery and a café. From there we could admire the panorama of the city. What struck us immediately were the enormous forest areas. We were surrounded by a sea of trees. We realized that we weren't on the coast anymore, nor in the desert, but that we had moved to the interior. Although it's winter here in December, it doesn't mean that it's cold. The trees look like those in Poland in the autumn, shimmering with colors and creating a warm atmosphere.

We reached the town/settlement of Bristol quite quickly, the place where we were supposed to meet another Servas host. It was still early. We were wondering if we should continue driving and rent a place by the sea, or stay here, because af-



byliśmy, bądź co bądź, już umówieni. Po-
stanowiliśmy jednak zostać, zwłaszcza
że powoli zaczynało się ściemniać. Chcie-
liśmy też mieć frajdę przejechania się
następnego dnia rano drogą nad samym
morzem, która wiodła przez kurortowe
miejscowości o prestiżowym statusie.

Bristol to miejscina z jedną ulicą. Za to
dom Teresy był imponujący i duży – coś
ok. 300 m². Otoczony z 3 stron lasem, a z
4. widokiem na urokliwy staw z drzewa-
mi wyrastającymi prosto z wody. Przy
zachodzącym słońcu widok ten napawał
zachwytem! Sam budynek był nadzw-
yczaj niekonwencjonalnie zaprojektowa-
ny. Uwzględniał zarówno potrzeby ludzi,
jak i 9 kotów i 1 psa. Posiadał osobne
wejścia dla kotów, osobne pomieszcze-
nie, gdzie mogły się one załatwiać, a na-
wet pomieszczenie gdzie mogły spać,
„wypoczywać” lub harcować w miarę po-
trzeb. Specjalnie zbudowane schodki, po
których mogły wchodzić do specjalne-
go, oszklonego korytarza przechodzące-
go wzdłuż wszystkich pomieszczeń, ale



ter all we had an appointment. We de-
cided to stay, especially that it started
getting dark slowly. We wanted to enjoy
the drive right by the beach the follow-
ing morning, on a road leading through
prestigious tourist resorts.

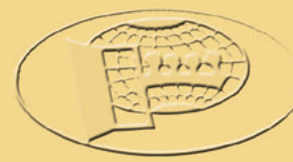
Bristol is a one-street town. In con-
trast, Teresa's house was big and im-
pressive – about 3000 square feet. It
was surrounded by a forest from three
sides and to the fourth there was a view
over a charming pond with trees stick-
ing out of the water. At sunset that view
was really enchanting! The design of the
building itself was extraordinary. It not
only met the needs of the people living
in it, but also of the nine cats and one
dog. It had separate entrances for the
cats, a separate room serving as their
toilet and even a room for them to sleep,
get some rest and play around depend-
ing on their needs. There were specially
designed stairs, which enabled them to
enter a special glass corridor running
along all the rooms, situated just under



umieszczonego tuż pod sufitem, pozwalały na „bezkolizyjną” integrację kotów z domownikami. Dzięki temu patentowi mogły być wszędzie, ale bez dostępu do kuchni i innych pomieszczeń przeznaczonych dla ludzi. Kolory na ścianach i sufitach były żółto-bordowe lub zielono-pistacjowe łączone z zielenią trawy. Kolory jak w bajkach. Wszystko też dopasowane i prze-myślane w najdrobniejszych szczegółach. Byliśmy zafascy-nowani. Z czymś takim spotkaliśmy się pierwszy raz w życiu. Można kochać koty, ale żeby projektować cały dom biorąc je pod uwagę, to już jest coś! Pogadaliśmy trochę, wypiliśmy bu-telkę wina i zmęczeni położyliśmy się spać.

the ceiling. Thanks to this, the cats and the people could live together without colliding with each other. The animals could go anywhere they liked, but without access to the kitchen or other rooms designed for people. The walls and ceilings were painted either yellow/deep-red or pistachio green combined with the green of grass. Those were fairy-tale colors. Every-thing was adjusted and thought over in the slightest detail. We were fascinated. It was the first time we had seen anything like this. You can love cats, but to design the whole house with them in mind is really something! We chatted a bit, drank a bottle of wine and – since we were pretty tired – we went to sleep.





31/12/04 „Makabra w Panama City Beach i ostatnia wieczerza w Destin”

Rano wybraliśmy się do domku myśliwskiego nad jeziorem. Teresa chciała nam pokazać, gdzie poluje jej ojciec i gdzie najlepiej wypoczywa. Obszar ogromny. Dom dość spory, położony nad samym jeziorem. Piękny widok, cisza, spokój, szum drzew, śpiew ptaków. Aż chciało się tu zostać dłużej. Niestety, nie mieliśmy zbyt wiele czasu, aby się rozkoszować naturą, bo przed nami mieliśmy jeszcze dość daleką drogę. Zaprosiliśmy Teresę do Polski. Obiecała, że jak tylko nadarzy się sposobność to na pewno przyjedzie.

Po godzinnej jeździe na południe zatrzymaliśmy się w Panama City, letniskowej miejscowości typu Sopot, ale nie aż tak atrakcyjnej. Odwiedziliśmy lokalną wystawę malarstwa i fotografii, zjedliśmy pyszną szarlotkę z karmelem – najlepszą jaką jedliśmy, no i wreszcie kawa z ekspresu. Normalnie, jeśli poprosi się o kawę, to dają „regular”, czyli woda zabarwiona na lekko brązowy kolor – ohyda. Nie da się tego pić nawet z mlekiem. A Szwedzi wręcz nazywają to popłuczynami, czyli wodą po myciu naczyń.

Na zachód jechaliśmy teraz wzdłuż niekończących się przepięknych, szerokich, piaszczystych plaż. W niezwykle urokliwym miasteczku Panama City Beach ogarnęło nas zdziwienie graniczące z szokiem i oburzeniem na widok kilometra-

31/12/04 “The Panama City Beach macabre and the last supper in Destin”

In the morning we went to a hunter’s house by the lake. Teresa wanted to show us where her father hunts and where he takes his rest. The area was impressive! Quite a big house, situated just by the lake. A beautiful view, silence, peace, trees rustling, birds singing. It made us want to stay there longer. Unfortunately, we didn’t have too much time to delight in nature, because we had quite a long way ahead of us. We invited Teresa to Poland. She promised to do that as soon as she could.

After an hours’ drive to the south we stopped in Panama City, a health resort similar to the Polish city of Sopot, but not equally attractive. We visited a local exhibition of painting and photography, we ate a delicious apple-pie with caramel – the best we’ve eaten, and finally we drank some coffee. Usually, when you ask for it, they serve a *regular*, which actually is some light brown colored water – disgusting! It’s undrinkable, not even with milk.

Now we were heading west along extremely beautiful wide sandy beaches for miles on end. In an utterly charming city of Panama City Beach we were overwhelmed by astonishment close to shock and indignation at the sight of disgusting multistory concrete monsters in form of apartment buildings that



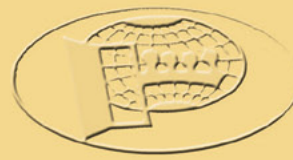
mi ciągnących się ohydnych, wielopiętrowych, betonowych straszydeł na kształt apartamentowców szpecących cały urok tej miejscowości. Makabra ta całkowicie zasłaniała cały widok z drogi na plażę i morze. Koszmary te stały właściwie na samej plaży, która na szczęście lub nieszczęście była bardzo rozległa i szeroka. Dziwiło nas tylko to, że ktoś dostał pozwolenia na budowę tuż przy samym morzu, wiedząc o tym, że tę część Florydy nawiedzają częste huragany i niszczą wiele zabudowań – jak to było kilka miesięcy wcześniej w Pensacoli. W końcu, pomyśleliśmy, że to nie nasz biznes, że jesteśmy na urlopie i nie będziemy się destrukcyjnie nakręcać...

Jadąc dalej dotarliśmy do miasteczka Seaside – istnej perełki. Wreszcie mogliśmy nacieszyć się widokiem cudownej architektury budyneczków, domków i domeczków w pastelowych kolorach. Prawie wszystkie miały na samej górze wybudowane coś w rodzaju altanek, przypominających punkty obserwacyjne, z których na pewno rozciągał się piękny widok na morze, plażę i miasteczko. Wspaniałe długie plaże i niesamowicie biały piasek



stretched for miles and destroyed the whole charm of that place. That macabre completely shut out the view of the beach and the sea from the road. Those nightmarish constructions were actually situated on the beach itself, which – luckily or unluckily – was very long and wide. We were only surprised that somebody was granted permission to build just by the sea, given that this part of Florida is often afflicted by hurricanes destroying many buildings, as it had happened in Pensacola a few months earlier. Eventually, we thought it wasn't our business and that we were on vacation and there was no need to build up such destructive feelings...

Further on our way, we reached the town of Seaside – a pure gem. Finally we were able to enjoy the magnificent architecture of buildings, houses and cottages in pastel colors. Almost every one of them had something like a bower on top that might as well serve as a vantage point with a beautiful view of the sea, the beaches and the town. The whole was completed by the wonderful long beaches and the incredibly white sand. It was so white that, when

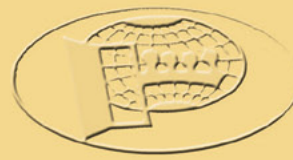


dopełniały całości. Piasek był do tego stopnia biały, że jadąc po drodze myśleliśmy, że to śnieg leżący na wydmach... Nie do wiary, jakie złudzenie.

Nie mogliśmy się oprzeć, aby nie zostać choć na godzinę w tym bajkowym miejscu. Weszliśmy w głąb miasteczka, a tam cudowne ogrody i skwerki z artystycznie wykonanymi leżakami i ławeczkami, gdzie można było sobie odpocząć pod palmami i różnego rodzaju rozłożystymi drzewami. Na każdym kroku urocze domki z balkonikami jak z obrazów impresjonistów, przystrojone tysiącem migających gwiazdek, choinek i lampek. Całe miasteczko wypełnione było galeriami, restauracjami, kawiarenkami i sklepikami z upominkami. Byliśmy zauroczeni. Z żalem opuściliśmy ten urokliwy zakątek. Ruszyliśmy do Destin. Tam mieliśmy umówiony następny postój u servasowego gospodarza, Blaine'a. Na miejscu zastaliśmy sylwestrową krzątanicę. Trzy dziewczyny z Nowego Orleanu, z których 2 pochodziły z Brazylii, przygotowywały kolację. Chętnie się do nich przyłączyliśmy i około 22⁰⁰ wszyscy zasiedliśmy do ostatniej wieczerzy tego roku. Przed północą pojechaliśmy jeepem jednej z dziewczyn na plażę podziwiać sztuczne ognie. Po przywitaniu Nowego 2005 Roku i wypiciu szampana, zmęczeni wróciliśmy do domu. Bardzo brakowało nam imprezy, tańców i hulanek w gronie najbliższych przyjaciół, o których w chwili nadejścia Nowego Roku bardzo ciepło i z rozrzewnieniem myśleliśmy.

we saw it on our way to the city, we mistook it for snow lying on dunes... This kind of illusion is hard to believe.

We couldn't resist staying in that fabulous place for another hour. We walked to the heart of the city where we saw fantastic gardens and little green areas with artistically crafted deckchairs and benches that allowed one to take a rest under palms or branchy trees of various kinds. Everywhere we went, there were charming houses with balconies resembling those in the impressionists' paintings, decorated with thousands of twinkling little stars, Christmas trees and little lamps. The town was full of galleries, restaurants, cafés and souvenir shops. We were spellbound. We left that charming place with regret. We proceeded to Destin, where we were supposed to stop at Blaine's, another Servas host. We got there right in the middle of the New Year's Eve bustle. Three girls from New Orleans, two of whom were of Brazilian origin, were preparing dinner. We were happy to join them and at about 10PM we all sat down to our last supper of the year. Before midnight, we got into one of the girls' jeep and went to the beach to admire the fireworks. After greeting the New Year 2005 and drinking Champagne, we went back home. We really missed partying, dancing and reveling in the company of our friends and relatives and at the moment of the arrival of the New Year we were thinking about them with warmth and affection.



1/01/05 „Pirackie kasyno”

Destin to także miejscowość wypoczynkowa, choć nie tak urokliwa jak Seaside. Blaine miał duży dom z basenem nad samym jeziorem, nie był jeszcze całkiem umeblowany, bo zasiedlony raptem 2 miesiące wcześniej. Panował tu przeprowadzkowy bałagan. Za to atmosfera typowa dla servasowców, klimat luzu i swobody, życzliwości i ogólnej empatii kompensował inne niedogodności. Po śniadaniu pożegnaliśmy się ze wszystkimi i pojechaliśmy dalej. Opuściliśmy Florydę, kierując się cały czas na zachód. Po drodze mijaliśmy wspomnianą wcześniej Pensacolę. To tam kilka miesięcy temu huragan dokonał ogromnych zniszczeń. Na szczęście w dużej mierze zostały one błyskawicznie naprawione, tak że jak przyjechaliśmy, nie było już zbyt wielu śladów tej katastrofy. Około 100 mil przed Nowym Orleanem – naszą kolejną przystanią, odwiedziliśmy miejscowość Biloxi, słynną w tych okolicach z zalegalizowanych gier hazardowych – coś jak Las Vegas, ale zdecydowanie w mniejszym forma-



1/01/05 “The pirates’ casino”

Destin is also a health resort, though not as charming as Seaside. Blaine had a large house with a pool, just by the lake. It wasn't entirely furnished yet, because the owners had moved into it just two months earlier. The post-moving mess was still visible. But the atmosphere was typical for the Servas people, an air of ease and freedom, benevolence and general empathy compensated for all the other inconveniences. After breakfast we said good-bye to everyone and went back on our way. We

left Florida, still heading west. On our way, we drove past the above-mentioned Pensacola. It was there that a hurricane had wreaked havoc a few months earlier. Luckily, the destroyed parts of the city were mostly rebuilt very quickly, so we didn't see many results of that catastrophe as we were driving by. About 100 miles before New Orleans – our next harbor – we visited the city of Biloxi, famous in the neighborhood for its legalized gambling, something like Las Vegas, but of a much lower caliber. Situated



cie. Położone tuż nad samym morzem z dziesiątkami mniejszych i większych kasyn gry przyciągało miłośników hazardu z całej południowo-wschodniej części Stanów. Jedną z niewątpliwych atrakcji miasta było największe na świecie pływające kasyno. Wyglądało trochę jak statek z filmu Polańskiego „Piraci” i kosztowało podobno jakieś astronomiczne sumy... Pojeśliśmy trochę znakomitych owoców morza i tuż po zmierzchu ruszyliśmy w dalszą drogę. Do Marie i Boba – kolejnych gospodarzy z Servasu, dotarliśmy jak po sznurku, a to wszystko dzięki doskonałemu opisowi drogi sporządzonemu przez jedną z dziewczyn, którą poznaliśmy u Blaine’a. Mieszkała ona bowiem w pobliżu adresu, pod który zmierzaliśmy.

Marie i Bob – wspaniali ludzie czekali już na nas z kolacją i potężną baterią informacji o Nowym Orleanie. I tak niemal na wejściu przy dobrym winie dowiedzieliśmy się, co należy obejrzeć, co i gdzie zjeść i wypić, jakie drinki koniecznie trzeba „zaliczyć”, gdzie dają najlepszą kawę, gdzie można posłuchać wspaniałej muzyki i jak tam dojechać. Właściwie już około północy wiedzieliśmy niemal wszystko!

just by the sea, with tens of big and small casinos, it attracts gambling buffs from the whole southeastern part of the States. Undoubtedly, one of the attractions of the city was the largest floating casino in the world. It looked a bit like the ship from the movie “Pirates” by Roman Polański and it cost astronomical amounts of money... We ate some splendid seafood and it was already after dusk when we left the city. We easily reached Marie and Bob – our next Servas hosts, thanks to a perfect route description prepared by one of the girls we had met at Blaine’s. She happened to live close to the address we were going to.

Marie and Bob – wonderful people – were already waiting for us with dinner and a whole load of information about New Orleans. And so, as soon as we entered and sat down to some fine wine, we learned what we should see, what and where to dine, what drinks are an absolute “must”, where the best coffee is served, where we can listen to some great music and how to get there. Actually, already around midnight we knew almost everything!



2/01/05 „Zwykłe racuchy...”

Zaraz po śniadaniu udaliśmy się jakimś zabytkowym tramwajem, pamiętającym pewnie czasy Roosevelta, do francuskiej dzielnicy, uchodzącej tu za stare miasto. Kierująca tym tramwajem Murzynka do złudzenia przypominała Whoopi Goldberg. Swoimi komentarzami rozbawiała po drodze całe towarzystwo. Luzaczka, która już na wejściu pozwoliła poczuć rozrywkowy klimat tego miasta. Nie na darmo o Nowym Orleanie mówi się, że jest stolicą totalnego luzu (Big Easy). Niewykluczone, że i powiedzenie luz-blues wywodzi się właśnie stąd. Przecież to rodzinne miasto Luisa Armstronga i Raya Charlesa, a także artystów, komików i wszelkiej maści oryginałów. Gdyby nie potężny przemysł turystyczny, drugi co do wielkości port w USA, bawełna oraz owoce morza, to nie wiadomo, z czego to miasto by się utrzymało. Życie płynie tu leniwie jak przepływająca obok rzeka Missisipi. Wielu tzw. normalnych mieszkańców Nowego Orleanu ubolewa nad tymi artystami, którzy nie imają się żadnej pracy – w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Nie wiem, czy to przypadek, ale 65% populacji to Murzyni. Jest to też chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie na ulicy można otwarcie pić



2/01/05 “Just pancakes”

Right after breakfast we took an antique streetcar, probably remembering the times of Roosevelt, and went to the French Quarter, regarded as the local old town. The black woman driving the trolley looked exactly like Whoopi Goldberg. She made all the passengers laugh with her comments. A laid back woman, who right at the beginning allowed us to feel the atmosphere of amusement, so characteristic for this place. It's not a coincidence that New Orleans is called the Big Easy. It's possible that the Polish saying “luz-blues” comes from this very place. For this is the home city of Louis Armstrong and Ray Charles, as

well as many artists, comics and all kinds of eccentrics. If it wasn't for the powerful tourist business, the second largest harbor in the USA, cotton and seafood, it would be difficult for this city to earn its living. Life is flowing lazily here, just like the nearby Mississippi river. Many of the so called normal citizens of New Orleans are worried about those artists who have no job – in the traditional meaning of this word. I don't know if this is a coincidence, but black people account for 65% of the city population. It's also probably the only place in the world where one can openly drink alcohol on the streets, which by the way



alkohol, który można tu kupić na każdym kroku. Z przywileju tego korzystają niemal wszyscy. Ludzie tu funkcjonują w zasadzie na lekkim rauszu od rana do rana. Każda okazja i każdy powód jest pretekstem do imprezowania.

Prawie cały dzień włóczyliśmy się po francuskiej dzielnicy, podziwiając późno-kolonialną architekturę no i słuchając muzyki, która dobiegała z każdej knajpki i baru. Podziwialiśmy też różnych kuglarzy, muzyków, cyrkowców, tancerzy, magików, wróżbitów i innych, których tu jest bez liku. Na kawę poszliśmy do słynnej Cafe de Monde, w której od 150 lat podaje się wyłącznie francuskie beignets (czytaj: binitis) i kawę. Kawiarnia nas rozczarowała. Można by wręcz powiedzieć, że była mocno przereklamowana, a rozślawione beignets, to nic innego jak zwykłe racuchy, które nasze mamy robiły kiedyś w parę minut. Tu zaś traktowane są jak ósmy cud świata. Dlaczego my nie potrafimy tak dobrze sprzedawać naszych pomysłów? ...Zwykłe racuchy.... no proszę!

Lunch zjedliśmy w Mr. B's – restauracji, w której muzyka na żywo oraz wyśmienite dania z owoców morza i kuchni Cajun zasługują na



is available at every step. Almost everyone here takes advantage of this privilege. Basically, the local people function slightly boozed from dawn to dawn. Every opportunity and every reason is a good excuse for having a ball.

We strolled around the French Quarter nearly all day long, admiring the late colonial architecture and, of course, listening to the music coming from every bistro and every bar. We also admired various jugglers, musicians, acrobats, dancers, magicians, fortune-tellers and all the others who are present here in huge numbers. We went for a coffee to the famous Café de Monde, where for 150 years they have been serving only the French *beignets*

and coffee. But we were disappointed by the café. You could say that it was highly overrated and the famous *beignets* were nothing but the ordinary Polish “racuchy” (pancakes), which our mothers used to make in just a few minutes. But here they are treated like the eighth wonder of the world. Why aren't we able to sell our ideas so well? Ordinary pancakes ... who would have thought?

We had lunch at Mr. B's – a restaurant that deserves recommendation for its live music as well as



rekomendację. Wieczorem, za namową naszych gospodarzy pojechaliśmy do klubu, w którym miała być muzyka na żywo też typu Cajun. Okazało się, że jest to zwykły regionalny folklor amerykański. Ludzie przychodzą tu sobie po prostu potać i dobrze się zabawić za jedyne 7\$. Jak już tam byliśmy, to też poszaleliśmy na parkiecie... Trochę inaczej niż inni, ale nikomu to nie przeszkadzało. Najważniejsze, że było fajnie.

Wieczorem zaprosiliśmy naszych gospodarzy na kolację. Wybrali lokalną knajpkę na przedmieściach, ale z doskonałym jedzeniem. Uczta była wspaniała. Zaczęliśmy po amerykańsku, czyli krążki cebulowe, później ostrygi surowe i smażone, kraby, małe krewetki, ośmiornice, ryby itd. Byliśmy naprawdę zadowoleni, bo jedzenie było wyśmienite. Jak zwykle rozmawialiśmy z naszymi znajomymi prawie do 12.00 w nocy, opowiadając o podróżach, zdjęciach i różnicach kulturowych między Europą, Stanami i resztą świata.



for some delicious seafood and Cajun meals. In the evening, following the advice of our hosts, we went to a club where live music – also of the Cajun kind – was supposed to be played. It turned out that it was just a typically American local bar, where people come to dance together and have fun for only \$7. Having found ourselves there, we also let ourselves go on the floor. We were dancing in a slightly different way than the others, but nobody minded. Most importantly, it was fun.

In the evening we invited our hosts for dinner. They chose a local restaurant in the suburbs, but with great food. The feast was incredible. We started the American way, from onion rings, then we had raw and fried oysters, crabs, small shrimps,

octopuses, fish and so on. We were really satisfied, because the food was delicious. As usual, we talked to our friends nearly until midnight, telling them about journeys, photographs and cultural differences between Europe, the US and the rest of the world.



3/01/04 „Gumbo ja-ja w domu Napoleona”

Dzień zaczęliśmy od niezbędnego prania (bo już się trochę tego nazbierało), sprawdzenia poczty elektronicznej, a później dalszy ciąg zwiedzania miasta. Postanowiliśmy wybrać się na drugi brzeg rzeki Missisipi i spenetrować coś na kształt naszej rodzimej, warszawskiej Pragi. Niestety, nic ciekawego. Szybko zatem wróciliśmy na „stare śmieci” we francuskiej dzielnicy.

Niesamowicie, że jeszcze w latach 60. XIX w. były tu osobne miejsca w tramwaju dla białych i czarnych, osobne szkoły, osobne miejsca w restauracjach. Francuska dzielnica – jak sama nazwa wskazuje – była zamieszkiwana przez Francuzów, a dookoła mieszkali Amerykanie, Kubańczycy i przedstawiciele innych narodowości. Francuzi nie mogli przechodzić do dzielnicy amerykańskiej i odwrotnie. Oddzielała ich ulica – Canal Str., której pasy ruchu rozdzielone były szerokim trawnikiem i tylko tu ludzie mogli się spotykać i robić interesy.

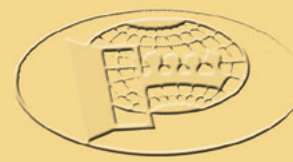
Po południu zjedliśmy lunch w słynnym domu Napoleona, który w 1798 r. zbudowano specjalnie dla niego, a w którym nigdy nie zamieszkał, bo też nigdy tu nie dotarł. Teraz mieści się tu hotel i przeurocza restauracja z patio, gdzie na świeżym powietrzu koniecznie trzeba wypić pin-up, czyli drinka z ogórkiem, ginem i jeszcze kilkoma innymi dodatkami. Po spożyciu zup na bazie owoców morza, czyli znakomitej gumbo-seafood i gumbo ja-ja, oraz brązowego puddingu – specjalności nowo-orleańskiej kuchni, kontynuowaliśmy włączyć po „starów-

3/01/04 “Gumbo ja ja in Napoleon House”

We started the day doing some necessary washing (as there was already quite a pile to take care of), we checked the e-mail and off we went to continue exploring the city. We decided to go to the other side of the Mississippi and take a closer look at the New Orleans counterpart of our familiar Warsaw quarter – Praga. Unfortunately, it wasn't interesting at all. And so we quickly got back to “our” French Quarter.

It seems incredible that whites and blacks had separate places in streetcars, separate schools and separate places in restaurants as late as in the 1860s. The French Quarter – as the name suggests – was inhabited by the French and surrounded by Americans, Cubans and other nationalities. The French weren't allowed to enter the American quarter, and vice versa. They were separated by a street – Canal Str – whose traffic lanes were divided by a broad lawn and it was only there that people were allowed to meet and do business.

In the afternoon we had lunch in the famous Napoleon House, which was built especially for him in 1798, but in which he never lived, because he never got here. Now there is a hotel here as well as a charming restaurant with a patio, where – while sitting in the open air – it is a must to drink a glass of pin-up, a drink with cucumber, gin and a few other ingredients. After consuming seafood-based soups, i.e. the splendid Gumbo Seafood and Gumbo Ja Ja, as well as some brown pudding – the New Orleans cuisine specialty, we continued our stroll around “the Old Town”.



ce”. Przy okazji trafiliśmy na francuski targ z przyprawami i owocami, a także targ z upominkami, koszulkami i wszystkim tym, na co można naciągnąć turystów. Pod wieczór, znów tramwajem, wróciliśmy do Boba i Marie, którzy przygotowali dla nas wspaniałą obiadokolację złożoną m.in. z raków, krewetek – jumbo, gumbo ja-ja i pie z owoców morza, lokalne piwo i pełne garście dobrego humoru. Wieczorem, mimo zmęczenia pojechaliśmy do jednego z setek barów we francuskiej dzielnicy na koncert znanej lokalnej artystki, którą rekomendowali nasi gospodarze. Rzeczywiście koncert był wspaniały, a muzycy i wokalistka najwyższej klasy. Była to istna uczta dla uszu! Zresztą byłoby grzechem być w Nowym Orleanie i nie załapać się na koncert jakiejś lokalnej kapeli. Podobno jak się ma szczęście to można natrafić na prawdziwe gwiazdy występujące tu gościnnie, jak np. Eric Clapton, który bywa tu dość często i pogrywa sobie od czasu do czasu – tak spontanicznie i bez zapowiedzi.

W tym mieście dobrego jedzenia, picia i wspaniałej muzyki nudzić się nie można. Warto poświęcić czas nie tylko na solidną zabawę, ale również na zwiedzanie okolic Nowego Orleanu. Szczególne wrażenie robią ogromne plantacje i wspaniałe rezydencje ich właścicieli. Można też wybrać się poduszkowcem na „bagna” lub na ogromne, wręcz niekończące się rozlewiska rzeki Missisipi. Natura hojnie obdarowała to miejsce. Wyrastające z wody drzewa, aligatory, ptaki cieszą oczy wielu turystów. Każdy znajdzie tu coś interesującego dla siebie.

We came across a French market with spices and fruits, and another one, where you could buy souvenirs, t-shirts and all that tourists can be ripped off for. In the evening, again by streetcar, we went back to Bob and Marie, who prepared a wonderful dinner/supper for us, consisting, among others, of crayfish, shrimps – jumbo, gumbo ja ja and seafood pie, local beer and a handful of good humor. In the evening, despite being tired, we went to one of the hundreds of bars in the French Quarter to see a concert of some famous local artist, recommended by our hosts. The concert was indeed fantastic, and the musicians as well as the singer were of the highest quality. It was a veritable feast for our ears! Besides, it would be a sin to be in New Orleans and not get to see a concert of some local band. Allegedly, when you are lucky you can encounter real stars having guest appearances here, such as Eric Clapton, who comes here quiet often and plays now and then – just spontaneously, without being announced.

One just can't get tired in this city of good food, drinks and wonderful music. It's worth devoting some time not only for some serious partying, but also for visiting the vicinity of New Orleans. Especially impressive are the enormous plantations and the gorgeous mansions of their owners. You can also take a trip by hovercraft to the “swamps” or to the giant, seemingly unending floodwaters of the Mississippi. Nature has generously endowed this region. Trees growing out of the water, alligators, birds please the eyes of many tourists. Everyone will find something interesting for themselves.



4/01/05 „Obwodnica 820 by night”

Rano pożegnaliśmy Luizjanę i ruszyliśmy w stronę Dallas w Teksasie. Podróż dość monotonna. Pogoda wyraźnie się popsuła. Wyjeżdżając z Norlins (jak wypowiadają to miejscowi) na zachód, jedzie się we mgle mostami zawieszonymi tuż nad słynnymi rozlewiskami Missisipi. Gdyby ktoś – nie daj Boże – źle wjechał na taką trasę, to zjechać z niej mógłby dopiero po godzinie jazdy albo i więcej. Wysokie barierki nie pozwalały za mocno rozkoszować się widokiem, który gdzieś tam ukazywał się w szerszej perspektywie. Wówczas zapierał dech. Niestety, nie można się było nigdzie zatrzymać nawet na chwilę, żeby chociaż zrobić zdjęcie, dlatego też ten odcinek naszej trasy nie jest zdjęciowo udokumentowany.

Późnym popołudniem zatrzymaliśmy się na bufet w miejscu, gdzie zatrzymują się kierowcy tirów. Okazał się on nie tylko smakowity, ale też bardzo tani. Nieopodal był też outlet, do którego wstąpiliśmy na przysłowiową chwilę. Trwała ona jednak ponad 1,5 godziny, ale uwieczniona była dość ciekawymi zakupami.

Nocleg mieliśmy umówiony w Fort Worth położonym nieco na zachód od Dallas. Było już ciemno, gdy dojeżdżaliśmy do obwodnicy nr 820 o długości ponad 100 km. Niestety, wjechaliśmy na nią z niewłaściwej strony i cały nasz opis drogi, który tak skrupulatnie został przygotowany przez Boba diabli wzię-

4/01/05 “Beltway 820 by night”

In the morning we said good-bye to Louisiana and headed for Dallas, Texas. The trip was quite monotonous. The weather was obviously getting worse. When you are leaving Norlins (as the locals pronounce it) and going westwards, you are driving in the fog over bridges suspended over the famous floodwaters of the Mississippi. If somebody – God forbid – took the wrong entrance on such a highway, they would be able to get off it only after an hour’s drive, or even later. The high railings made it impossible for us to delight in the view, although at some points it was available in a wider perspective. At those moments, it took our breath away. Unfortunately, we couldn’t stop even for a while, not even to take a photo, so that’s why this part of our route isn’t photographically documented.

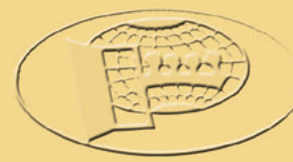
Late in the afternoon we halted for a snack at a rest area for truck drivers. The meal not only turned out to be tasty, but also very cheap. There was an outlet mall in the neighborhood and we decided to go there for just a proverbial moment, which turned out to last over an hour and a half, but was crowned with some interesting purchases.

Our next stay was in Fort Worth, situated a little bit westwards from Dallas. It was already dark, when we were reaching the 820 beltway, over 60 miles long. Unfortunately, we entered it from the wrong side and the route description, so scrupu-



li. Po pół godzinie niepewności – bo nic się nie zgadzało – zdecydowaliśmy się zadzwonić do naszych gospodarzy z prośbą o pomoc. Zatrzymaliśmy się na rozjeździe autostrad, który nijak nie pasował do planu naszej trasy. Okazało się, że znaleźliśmy się dokładnie na drugim końcu miasta. Nadrobiliśmy ponad 80 km drogi i ponad godzinę jazdy nocą po zatłoczonej 5-pasmowej obwodnicy. To była „fascynująca” krajoznawcza wycieczka nocą po autostradzie 820. Około 20⁰⁰ szczęśliwie dotarliśmy na miejsce. Sharon i Clyde – para przemiłych serwasowców ok. 60-latków powitała nas nie tylko uśmiechem i dobrym słowem, ale również strawą i gorącą herbatą. Na pogawędkach o podróżach i ustalaniu planów na następny dzień naszych cudownych wakacji spędziliśmy wieczór. Dopiero po północy skonani położyliśmy się spać.

lously prepared by Bob, proved good for nothing. After a half an hour of uncertainty – because nothing was according to the plan – we decided to call our hosts and ask them for help. We stopped at a highway crossroads that we were unable to find in our route description. It turned out that we found ourselves exactly on the other side of the city. We added about 50 miles to our route and over an hour's drive at night on a crowded five-lane highway. It was a fascinating beltway 820 night excursion. About 8PM we eventually reached our destination. Sharon and Clyde – an extremely nice Servas couple of about 60 – greeted us not only with a smile and a good word, but also with some food and hot tea. We spent the evening chatting about journeys and setting the plans for the next day of our wonderful vacation. It was only after midnight that – feeling extremely exhausted – we went to sleep.



5/01/05 „Siodła w saloonie”

Od rana wraz z Clydem ustalaliśmy marszrutę na dzisiejsze przedpołudnie. Padał deszcz i było zimno jak w psiarni. Dobrze, że dzień wcześniej kupiliśmy w outlecie ciepłe ciuchy. Jakaś intuicja?

Skierowaliśmy się do części miasta zwanej dystryktem kultury, gdzie mieszczą się najśłynniejsze w Teksasie muzea m.in. Muzeum Campbella i Muzeum Sztuki Współczesnej, którego budynek zaprojektowany był przez słynnego japońskiego architekta, Tadao Ando. Połączył on szkło, beton, wodę i światło (jeśli słońce świeci) w jedną całość. Niewątpliwie budynek ten robił wrażenie, ale nie w taką pogodę. Oba te muzea można było zwiedzać za darmo, a eksponaty tam wystawiane można by uznać za dziedzictwo kultury światowej. Dzieła Rembrandta, Munka, Picassa, Warhola i wielu innych mistrzów można było podziwiać z odległości kilku centymetrów. To był dosłownie „bliski kontakt” z kulturą.

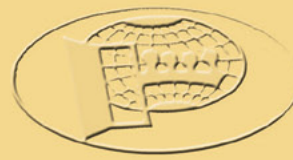
Jeszcze przed 11⁰⁰ dotarliśmy do „Stockyards” – kowbojskiego miasteczka utrzymanego w stylu XIX-wiecznych miasteczek Dzikiego Zachodu, aby zdążyć na spęd bydła. Atrakcja ta przeszła nam koło nosa ze względu na fatalną pogodę, która prześladowała nas od samego rana. Byliśmy zachwyceni architekturą, wystrojem wnętrza i gościnnością Teksasńczyków. Weszliśmy do jednego z saloonów, gdzie – jak na filmie – przy

5/01/05 “Saddles in the saloon”

In the morning, together with Clyde we started preparing the itinerary for the afternoon. It was raining and cold as a stone. To our luck, we had bought some warm clothes in the outlet mall. Some kind of intuition?

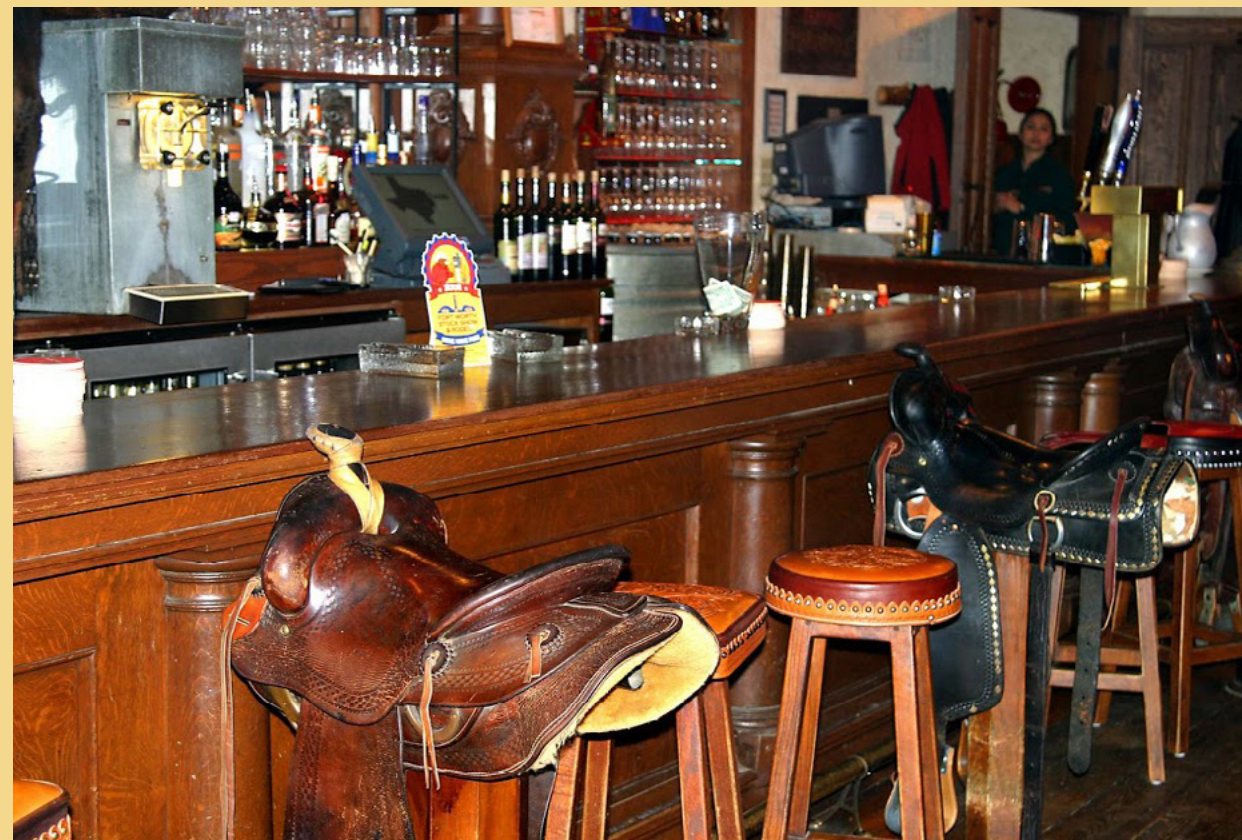
We headed for the part of the city called the Cultural District, where the most famous museums in Texas are situated, such as the Campbell Museum and the Museum of Modern Art, whose building was designed by the famous Japanese architect Tadao Ando. He combined glass, concrete, water and light (when the sun is shining) into one whole. The building undoubtedly made quite an impression, but not with this kind of weather. Admission to both museums was free and their exhibits can be easily regarded as the heritage of the world culture. We were able to admire the works of Rembrandt, Munk, Picasso, Warhole and many other masters from just a few inches away. It was literally “a close encounter” with culture.

It was still before 11AM when we reached Stockyards – a cowboy town maintained in the style of the 19th century Wild West towns – where we wanted to see a cattle roundup. However, due to lousy weather, which had haunted us since the morning, we weren't able to see that attraction. We were spellbound by the architecture, the design of the interiors and the hospitality of the Texans. We entered one of the



barze, zamiast krzeseł znajdowały się siodła kowbojskie, na których można było siedzieć i pić piwo czy drinka. My zdecydowaliśmy się na tradycyjny stół i oczywiście T-bon stek oraz lokalne piwo. Dobrze, że wzięliśmy 1 porcję, bo jak zobaczyliśmy ten stek, to nie mogliśmy uwierzyć, że steki mogą być tak wielkie i tak pyszne. Po prostu palce lizać. Okazało się później, że cena też była niemała – 32\$. Na szczęście wszystko nam smakowało, więc cenę też jakoś przełknęliśmy.

Droga do Amarillo, gdzie mieliśmy następny „przystanek”, ciągnęła się przez niekończące się wielkie pustkowia i prerie. Od czasu do czasu można było zobaczyć jakieś małe drzewo, stado krów, plantacje bawełny lub jakieś wielkie maszyny wydobywające ropę. Tu dopiero widać, jak ogromny jest to kraj, gdzie droga ciągnie się aż po horyzont i jak okiem sięgnąć – pustka. To jest dopiero przestrzeń! Po prostu wielka Ameryka. Nawet pociągi mają



saloons, where – just like in the movies – there were cowboy saddles instead of chairs, on which you could sit and drink a beer or some other drink. We chose a traditional table and – of course – a T-bone steak and some local beer. It was good that we ordered just one portion, because after we saw it, we couldn't believe steaks can be as big and as tasty. Simply delicious. Later on, the price also turned out to be quite large – \$32. Luckily, we enjoyed the food, so we were somehow able to swallow the price, too.

The road to Amarillo, where our next stop was, stretched across unending deserts and prairies. Now and then, you could see a small tree, a herd of cows, cotton plantations and some huge machines drilling for oil. Here we could finally get a sense of how immense this country is, where roads stretch to the horizon and there is emptiness everywhere you look. This is what you call the wide-open space!



po 120 i więcej wagonów oraz 3-4 lokomotywy. Właściwie podróż ze stanu do stanu można porównać do podróży po Europie. Każdy stan to inne państwo w państwie. Architektura, jedzenie i otoczenie, środowisko, kultura, obyczaje, ubiór... Tu w Teksasie np. ziemia jest pomarańczowa i żółta jak nigdzie indziej, roślinność (jeśli jest) karłowata. Brak drzew. Daleko na horyzoncie jakieś góry. Zarówno panie, jak i panowie w kapeluszach z zawiniętymi rondami, skórzane kurtki z frędzlami i obowiązkowo kowbojskie buty.

Wczesnym wieczorem dotarliśmy do Amarillo (jeszcze w Teksasie), gdzie zatrzymaliśmy się u Betty – też gospodarza Servasu. Nie było jej w domu – co zresztą wcześniej zapowiadała. Mieliśmy spotkać się z nią dopiero następnego dnia. To pozwoliło nam zająć się sobą, trochę ogarnąć i odpocząć po całym dniu spędzonym w samochodzie. „Domek” dla gości był otwarty i nagrzany, więc rozgościliśmy się. Nasze tymczasowe lokum to mały, ale przytulny pokój gościnny połączony z kuchnią oraz sypialnia z łazienką. Jednym słowem garaż z oknami przerobiony na domek dla gości, w którym mogliśmy czuć się niezależni i nieskrępowani.

It's simply the great America. Even trains here have 120 or more carriages each and three or four locomotives. Actually, a trip from one state to another can be compared to a journey around Europe. Every state is a country to itself. The architecture, food and surroundings, the environment, culture, customs, clothes... For example, here in Texas the ground is orange and yellow like nowhere else, and the flora (if there is any) is stunted. There are no trees. Some mountains far in the horizon. Men as well as women wear hats with folded brims, leather coats with fringes and – of course – cowboy shoes.

Early in the evening we reached Amarillo (still in Texas), where we stopped at Betty's house, who was yet another Servas member. Just like she had informed us, she wasn't home. We were supposed to meet her on the following day. This allowed us to take care of ourselves, clean up a bit and take a rest after a day in the car. The guest house was open and heated, so we made ourselves at home. Our temporary accommodation was a small but cozy guestroom adjacent to a kitchen and a bedroom with a toilet. In short, it was a windowed garage turned into a guest house, where we could feel free and unembarrassed.



6/01/05 „Przepowiednie guru”

Rano mieliśmy plany, aby wyruszyć dość wcześnie, ale chcieliśmy jeszcze podziękować Betty za gościnę i podarować jej książkę o Polsce. Weszliśmy do niezamkniętego na klucz domu. Dopiero po jakimś czasie naszego nawoływania, ktoś się odezwał. Betty okazała się przemiłą i rozmowną kobietą, która uraczyła nas śniadaniem, a także opowiadaniem o swoim wczorajszym spotkaniu z guru od przepowiadania przyszłości. Dowiedzieliśmy się, że rok 2005 będzie rokiem ogromnych szans, możliwości i nowych wyzwań, które mogą się spełnić oraz, że to, co chcieliśmy osiągnąć do tej pory, w tym roku będzie możliwe. Ucieszyło nas to, bo była to bardzo optymistyczna informacja. Mamy bowiem wiele planów i wyzwań na ten rok.

W dalszą drogę wyruszyliśmy dopiero około 11⁰⁰. Podróż do Santa Fe przebiegła bez żadnych wydarzeń. Spokojnie dojechaliśmy do miasta położonego na wysokości ponad 2 tys. m n.p.m. Był wczesny wieczór. Jednak dopiero po pół godzinie kluczenia i błędzenia po wąskich i źle oświetlonych uliczkach dotarliśmy na miejsce, do Lynne, która mimo poważnej choroby „przygarnęła” nas na jedną noc. Kolejne noclegi mieliśmy już wcześniej umówione z Lorraine i Donem. Po przysłowio- wym zainstalowaniu się, herbacie i krótkiej pogawędce wybraliśmy się wieczorem do miasta na mały rekonesans. Było

6/01/05 “The prophecy of the guru”

We had plans to set off early in the morning but we also wanted to thank Betty for her hospitality and give her a book about Poland. We entered the house, which was unlocked. We called for some time and finally somebody replied. Betty turned out to be a very nice and communicative woman, who treated us with breakfast and a story about her meeting with some fortune-telling guru the day before. We learned that 2005 was going to be the year of new challenges, possibilities and enormous opportunities that were likely to come true. What is more, everything we wanted to achieve would be possible in the New Year. It made us happy, as it was some really optimistic information. For we have lots of plans and challenges for the year 2005.

It wasn't until 11AM that we went back on our journey. The way to Santa Fe went by without any special events. We easily reached the city situated at an altitude of about 7000 feet above sea level. It was early evening. However, only after half an hour of wandering around the narrow and badly lighted streets did we reach the house of Lynne, who – despite a serious illness – welcomed us for one night. The accommodation for the following days had already been arranged with Lorraine and Don. After “installing ourselves”, drinking a cup of tea and having a short chat, we went to the city for a short evening reconnaissance trip. It was cold. It was somewhere below



zimno. Na pewno parę stopni Celsjusza na minusie. Śniegu po kostki. Dobrze, że wcześniej kupiliśmy trochę ciepłych ubrań, bo inaczej zamarzlibyśmy na kość. Santa Fe to bardzo pięknie położone miasteczko – podobne trochę do naszego Zakopanego. Popularne miejsce dla miłośników nart, sztuki i dobrego jedzenia. Choć liczy tylko ok. 60 tys. mieszkańców, to posiada 280 galerii i ponad 300 restauracji, barów i kawiarni. Ceny w galeriach były bardzo wysokie. Zainspirowało nas to do nawiązania z kimś współpracy odnośnie sprzedaży prac młodych polskich artystów. Tym bardziej, że zajmujemy się tym trochę w Polsce (www.strefasztuki.pl).

30F. The snow reached up to our ankles. We were glad that we had bought some warm clothes earlier, otherwise we would freeze to death. Santa Fe is a very beautifully situated city – a little similar to the Polish Zakopane. It's a place popular with those who like skiing, art and good food. Although it has only about 60000 inhabitants, it hosts 280 galleries and over 300 restaurants, bars and cafés. The prices in the galleries were very high. It inspired us to start cooperation with someone interested in selling works made by young Polish artists. All the more so, because we are a bit involved in this business in Poland (www.strefasztuki.pl).



7/01/05 „Santa Fe – nieoczekiwane możliwości i szanse”

Cały dzień włóczyliśmy się po urokliwych uliczkach Santa Fe, zaglądając do galerii, muzeów, restauracji i kawiarni. Poznaliśmy też Agnieszkę – Polkę, która mieszka tu od 4 lat i prowadzi w ekskluzywnym małym centrum handlowym butik z bursztynową biżuterią. Przyjemnie się z nią rozmawiało, zwłaszcza że okazało się, iż mamy wiele wspólnych tematów. Jednym z nich było rozpoczęcie współpracy w obszarze sprzedaży części naszej kolekcji obrazów. Agnieszka myślała o tym wcześniej, ale nie знаła nikogo w Polsce, kto mógłby jej pomóc. My zaś szukaliśmy kontaktów w Stanach. Lokal, w którym znajdował się butik, był bardzo wysoki i na pewno pomieściłby trochę obrazów różnego formatu, wypełniając jednocześnie dość puste ściany. Wyglądało na to, że przepowiednie guru z Amarillo jakby zaczęły się sprawdzać...

W Santa Fe mieliśmy okazję zobaczyć niesamowite budowle Adobe. Konstrukcje te nie mają prostych boków. Wznoszone są w podobny sposób od setek lat ze specjalnie wypala-



7/01/05 “Santa Fe – unexpected possibilities and opportunities”

We strolled around the little streets of Santa Fe all day long, looking inside galleries, museums, restaurants and cafés. We also met Agnieszka, a Polish woman, who had lived here for four years and who runs a boutique with amber jewellery in an exclusive shopping center. It was nice talking to her, all the more so because it turned out that we had many common issues. One of them was starting cooperation related to the sale of our collection of paintings. Agnieszka had been thinking about this earlier, but she didn't know anybody who could help her in Po-

land. And we were looking for some contacts in the States. The boutique had very high walls and some paintings of various sizes would certainly fit there, covering the empty walls at the same time. It seemed that the prophecy of the Amarillo guru started to come true...

In Santa Fe we were able to see the incredible Adobe buildings. They are constructions with uneven sides. They have been built this way for hundreds of years out of expressly



nej cegły koloru buraczkowo-rudego. Wszystkie budynki w centrum mają małe okna, niewielkie drzwi i wyglądają jak domki z bajki. Cechą charakterystyczną są wystające drewniane belki, malowane często na silnie odbijający się od reszty intensywny turkusowy kolor. Stanowią one konstrukcję nie tylko dachu, ale i całego budynku. Dachy często oświetlone są mnóstwem lampek przykrytych papierowymi torebkami. Santa Fe co roku odwiedza ok. 1,5 mln dość zamożnych turystów. Nic zatem dziwnego, że cały biznes kierowany jest właśnie na nich i na ich zasobne portfele. Zresztą turyści na całym świecie dotknięci są tą samą chorobą: psychozą wydawania pieniędzy (znamy to z autopsji). Dzięki temu takie miejsca jak Santa Fe czy Zakopane nieźle prosperują.

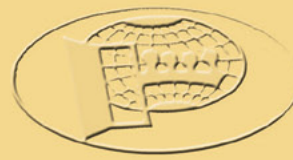
Wieczorem „przeprowadziliśmy się” do Lorraine i Dona, wspólna kolacja, kilkugodzinna pogawędka, wymiana serwisowskich doświadczeń... i kolejny dzień pełen wrażeń za nami.



burnt bricks of reddish-russet color. All the buildings in the city center have small windows, tiny doors and they look like fairy-tale houses. Very characteristic are the protruded wooden beams, often painted in a contrasting turquoise color. They not only compose the construction of the roof, but also of the whole building. Roofs are often illuminated by a large number of lights, covered with something resembling paper bags. About 1.5 million quite wealthy people visit Santa Fe every year. Given

this, it's no wonder that it's at them and their fat wallets that this whole business is directed. Besides, tourists all over the world suffer from the same disease: a spending psychosis (we know it from our own experience). Thanks to this, such places as Santa Fe thrive.

In the evening we moved to Lorraine and Don. A dinner together, a few hours' talk, an exchange of Servas experiences... and another thrilling day behind us.

**8/01/05 „Biznes na wychodku”**

Rano pojechaliśmy do Taos, które jest położone nieco wyżej na północ tuż przy stokach narciarskich.

To taka miniatura Santa Fe. Na stałe mieszka tam ok. 8 tys. ludzi, ale jest tam prawie 60 galerii, czyli 1 galeria przypada na 130 mieszkańców. Imponująca średnia... Wybraliśmy się kilka kilometrów na północ do rezerwatu Indian. Żyją oni tam jak przed wiekami.

Sam rezerwat okazał się jednak wielce skomercjalizowanym miejscem. Nie weszliśmy do środka, gdyż szkoda nam było pieniędzy, zwłaszcza że ludzi mieszkających bez kanalizacji i elektryczności można spotkać i w Polsce, i nikt nie robi z tego jakiejś płatnej atrakcji turystycznej. A może to jest sposób na biznes w Polsce?! Mimo to jednak spotkaliśmy się oko w oko z kilkoma czerwonoskórymi, których twa-

**8/01/05 “A business from a privy”**

In the morning we went to Taos, situated slightly further north, just by some ski slopes.

It's a miniature version of Santa Fe. Although just about 8000 people live there permanently, the town has almost 60 galleries, so there is one gallery per every 130 inhabitants. An impressive average. We went a few miles north, to an In-

dian reservation. They live there just like centuries ago. However, the place itself proved to be highly commercialized. We didn't enter inside, as we didn't want to waste our money, all the more so because in Poland you can also meet people living without sewage systems and electricity, though nobody makes a paid tourist attraction out of it. Or maybe this is an idea for a business in Poland?! Nevertheless, we had an eye-to-eye encounter with



rze były jakby żywcem wzięte ze starych westernów. Patrzyli na nas dziwnie, więc szybko się stamtąd ewakuowaliśmy. Pojechaliśmy zobaczyć most zawieszony na wysokości ok. 300 m nad rzeką Rio Grande. Była to ogromna przepaść spowodowana tektonicznym pęknięciem ziemi, na dnie której rzeka żłobiła swoje koryto. Od samego patrzenia kręciło się w głowie. Idealne miejsce na skoki „bangi”. Dziwne, że jeszcze nikt nie wpadł na to, żeby i tu robić kasę... Wróciliśmy do Santa Fe już o zmroku. Nasi gospodarze zaprosili swoją znajomą i ponownie zaserwowali wspaniałą kolację. Rozmawialiśmy do późna w nocy, delektując się winem.



a few redskins, whose faces seemed to be taken directly from old western movies. They were looking at us in a strange way, so we disappeared from there quickly. We went to see a bridge suspended at about 1000 feet over the Rio Grande river. It was an enormous precipice caused by a tectonic crack of the earth and there was a riverbed carved on the bottom of it. We felt dizzy just from looking at it. An ideal place for bungee jumping. It's strange that so far nobody has conceived the idea of

“making a bundle” here... It was already dark when we got back to Santa Fe. Our hosts had invited an acquaintance of theirs and served a wonderful dinner again. We talked until late in the night, delighting in wine.



9/01/05 „Przedmurze Grand Canion”

Od rana wyruszyliśmy w dalszą podróż. Po drodze zatrzymaliśmy się w Albuquerque (czytaj: Albekurki), miście podobnym trochę do Santa Fe, ale dużo większym, bo liczącym prawie pół miliona mieszkańców. Na lokalnym starym mieście zabawiliśmy godzinę, wypiliśmy kawę i ruszyliśmy dalej na zachód.

Zaraz po przekroczeniu stanu Arizona odwiedziliśmy niezwykle park skamieniałych drzew (Petrified Forest). Trudno sobie to zjawisko wyobrazić, dopóki nie zobaczy się tego na własne oczy. Rozrzucone na ogromnym terenie kawałki pni z daleka niczym nie różniły się od normalnych pni drzew. Po przyjrzeniu się z bliska okazało się, że są one skamieniałe, a raczej wręcz skryształizowane. Kryształy te mieniły się całą gamą kolorów i liczyły ponad 250 milionów lat. Proces ten trwał, jak widać, bardzo długo. Park ten ma ok. 50 km długości, zwiedzać go zatem można było jedynie samochodem. Teren ten posiadał też inne dziwne atrakcje: białe pustynie, niebieską górę i tym podobne. Zapadający zmrok nie



9/01/05 “The bulwark of the Grand Canyon”

Early in the morning we went back on our way. We made a stop in Albuquerque, a city quite similar to Santa Fe, but much bigger, with a population of almost half a million. We spent an hour in the local old town, we drank coffee and set off further west.

Right after crossing the Arizona state border, we visited an extraordinary park of fossil trees (Petrified Forest). This phenomenon is hard to imagine when you don't see it with your own eyes. From a distance, parts of tree trunks, scattered over a huge area, didn't differ at all from ordinary trunks. At a closer

look they turned out to be fossilized, or maybe even crystallized. Those crystals were shimmering with whole range of colors and were over 250 million years old. This process must have obviously lasted a very long time. The park is about 30 miles long, so the only way to explore it is by car. The area had also other attractions: white deserts, a blue mountain and the like. The twilight didn't allow us to fully appreciate those incredible phenomena.

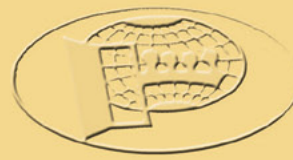


pozwoilił nam w pełni docenić tych niezwykłych zjawisk.

Na trasie dominowały piękne widoki gór rdzawych jak cegła o różnych kształtach. Zdarzały się też równiny płaskie jak stół, ciągnące się aż po horyzont, na którym majaczyły ośnieżone szczyty gór. Po drodze mijaliśmy pociągi o niewiarygodnej ilości wagonów – składy do 2 km długości, a także osady złożone z baraków, domów na kółkach i sypiących się chałup... W każdym razie widoki daleko odbiegające od naszych wyobrażeń o bogatej Ameryce... Wieczorem zawitaliśmy do Flagstaff – przedmurza Grand Canion, gdzie zostaliśmy na noc.



The route was dominated by beautiful views of mountains, rust-colored like bricks of various shapes. But there were also plains flat as a table, stretching to the horizon, where some snow-capped mountains were looming from here and there. On our way, we were also passing trains of an incredible number of carriages – they were over a mile long, as well as settlements consisting of barracks, mobile homes and deteriorating cottages... In any case, those were sights much different from our notions of the rich America... In the evening we entered Flagstaff – the bulwark of the Grand Canyon – where we stayed for the night.

**10/01/05 „Hipnoza kurtyzany”**

Główną atrakcją dnia, czyli Las Vegas, zostawiliśmy na wieczór. Po drodze postanowiliśmy zboczyć z trasy 50 km i wpaść do Sedony, która słynie ze swojego wspaniałego położenia.

Miasteczko ze wszystkich stron otoczone wspaniałymi Górami Skalistymi leży jakby na dnie ogromnego kanionu, choć i tak na wysokości ponad 2 tys. metrów. Nic więc dziwnego, że było tam śniegu aż po kolana. Turystów tu też co niemiara. Jest to miejsce osiedlania się bogatych emerytów, którzy często dożywają tu sędziwej starości. Myślę, że spokój, klimat i rekreacja mają duży wpływ na ich stan zdrowia.

Z Sedony, prosto jak po sznurku, pomknęliśmy do Las Vegas. Dotarliśmy tam już dobrze po zmierzchu, gdyż jeszcze po drodze zatrzymaliśmy się na jakiś czas przy słynnej tamie Hoovera.

W Las Vegas byliśmy kilkakrotnie. Za każdym razem, jak tu jesteśmy, przeżywamy silne emocje. Miasto to hipnotyzuje człowieka. Wprowadza w jakiś trans, powala i poniewiera jak luksusowa kurtyzana..., z którą nie jeden zatracił się aż do bankructwa albo jeszcze gorzej

10/01/05 “The courtesan’s hypnosis”

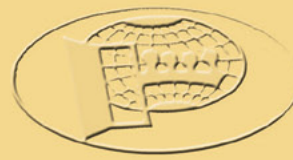
We left Las Vegas – the main attraction of the day – for the evening. On our way, we decided to make a 30-mile detour and stop in Sedona, famous for its exceptional situation. The

city, surrounded from all sides by the splendid Rocky Mountains, lies as if on the bottom of a giant canyon, though it’s still at the altitude of over 6000 feet. No wonder that the snow reached up to our ankles. There were also numberless tourists. It’s a place where elderly retired people settle and very often live to a hoary old age. I think the peace, the climate and the recreational opportunities have a big influence on their health condition.

From Sedona, straight as an arrow, we rushed to Las Vegas. We reached the city well after dark, because on our way we stopped for some time by the famous Hoover Dam.

We had been to Las Vegas a few times. But every time we come here, we experience strong emotions. This city hypnotizes. It sends you into a trance, knocks you down and ill-treats you like a luxurious courtesan, who led many a man to bankruptcy or even worse





– do samobójstwa. Las Vegas jest zwodnicze, przebiegłe, chytre jak lis, kuszące pajęczyną tanich ofert. A wszędzie błyskotki i światełka maszyn do gry, kolorowe ruletki, zielone stoły do gry w karty, w kości i we wszystko, czego dusza zapagnie. Wszystko wokół kusi. Skąpo ubrane hostessy roznoszą tanie drinki i piwo, żeby jeszcze bardziej podniecić, żeby jeszcze bardziej otumanić, żeby jeszcze jednego dolara postawić i przegrać!!! Człowiek czuje się jak ta kulka rzucona do zakręconej ruletki... Ale trzeba to przeżyć. Kiedyś trzeba, chociaż raz.

Spokojnie, bez pośpiechu, jak wytrawni koneserzy udaliśmy się na wieczorny rekonesans. Jedną z większych przyjemności (dla nie hazardzystów) jest wieczorne walenie się po mieście i podziwianie tego neonowego przepychu. Tu wszystko robione jest w jed-



– to suicide. Las Vegas is deceptive, shrewd and cunning as a fox, tempting visitors with a spider's web of cheap offers. All around you can see trinkets and game machines lights, colorful roulette wheels, green tables for playing cards, dice or any game you may think of. Everything around is tempting. Scantly dressed hostesses serve cheap drinks and beer, to excite and daze you even more, to make you bet one more dollar and lose!! A man feels here like a fish thrown into a spinning roulette wheel...

But one has to experience it. One has to do it one day, at least once.

Calmly, without any rush, like real connoisseurs we went for an evening reconnaissance trip. One of the greatest pleasures (for non-gamblers) is strolling around the city in the evening and admiring



nym celu – zadziwić i powalić na kolana przyjezdnych. Tańczące fontanny, płonące wulkany, pirackie statki, wodospady, kaskady wodne i migotanie milionów świateł we wszystkich kolorach tęczy. Jednym słowem: orgia dla oka. Wewnątrz hoteli przeogromne centra handlowe, w których można spędzać całe dni. Uświadomiliśmy sobie (po raz kolejny), że jak się tu wejdzie do środka, to jakby się było we wnętrzu jakiejś gigantycznej maszyny do kruszenia ludzkiej odporności na wydawanie pieniędzy. Amerykanie są w tym mistrzami świata. Potrafią umiejętnie robić kasę prawie na wszystkim. Myślę, że szczególnie tu w Las Vegas proceder wysysania pieniędzy z portfeli doprowadzony jest do perfekcji.

Nieco odurzeni, może zmęczeni tym „glamurem”, no i oczywiście ubożsi o paręnaście dolarów, które złożyliśmy w ofierze bogini rozpusty Vegas, wróciliśmy do hotelu.

this modernist splendor. Here, everything is done just to one goal – to astound the visitors and to knock them down to their knees. Dancing fountains, burning volcanoes, pirate ships, waterfalls, cascades and the twinkle of millions of lights in all colors of the rainbow. In short: an orgy for the eyes. Inside the hotels – enormous shopping centers, where you can spend whole days. We realized (once again) that once you enter here, it's like being inside of a giant machine designed to destroy human immunity against spending money. The Americans are the world champions in this respect. They have the ability to “make a killing” almost on everything. I think that especially here in Las Vegas the process of sucking the money out of the wallets has been brought to perfection. A bit dazed, or maybe tired of this glamour, and of course poorer by a dozen dollars or so that we offered up as a sacrifice to the Vegas goddess of debauchery, we got back to the hotel.

**11-12/01/05 Huśtawka w Las Vegas**

Być w Las Vegas i nie pójść na jakiś show, to tak jak nie zagrać w ruletkę. Dlatego też zaraz po śniadaniu udaliśmy się do centrum tanich biletów, gdzie na niektóre występy można było kupić bilety za pół ceny. Sporo osób wpadło na ten sam pomysł. Wybór był trudny, bo oferta niezwykle bogata, ale zasięgnąwszy języka zdecydowaliśmy się obejrzeć jeden ze spektakli rozpoczynający się o godz. 19⁰⁰. Dzień spędziliśmy właściwie na wałęsaniu się po mieście i po centrach handlowych kilku hoteli. W takim centrum można utknąć na parę dni, nie wychodząc na zewnątrz, bo wszystko, co jest potrzebne do życia, znajdziesz w środku.

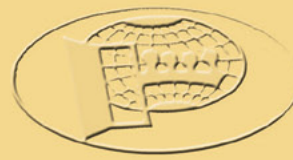
Show, na którym spędziliśmy około 2 godziny, był pokazem profesjonalizmu i perfekcji. Wykonanie wzbudzało najwyższy podziw. Rozmach, różnorodność dekoracji i strojów, gra świateł i kolorów, scenografia, choreografia – wszystko to po prostu zapierało dech. Wyszliśmy z teatru rewiewego zachwyceni. Resztę wieczoru spędziliśmy na włóczędce od

**11-12/01/05 "The Las Vegas swing"**

To be in Las Vegas and not go to a show of some kind is like not trying to play roulette there. Therefore, on the next day, right after breakfast, we went to a cheap ticket center, where tickets for some performances were available at half-price. Many people had the same idea. The choice was difficult, because the offer was incredibly big, but after consulting some people we decided to see a performance which was due to start at 7PM. Meanwhile, we spent the day basically just wandering around the city and shopping centers of a few hotels.

One can get stuck in this kind of hotels without going outside for a few days, because everything one needs is to be found inside.

The show, which lasted for about two hours, was a display of professionalism and perfection. The performance was calling for the highest form of admiration. The immensity, the variety of decorations and outfits, the play of lights and colors, the scenography, choreography – everything was simply breathtaking. We left the va-



kasyna do kasyna, próbując szczęścia – bez specjalnego powodzenia, co zresztą było wkalkulowane w pobyt w Las Vegas. Trochę nocnych zdjęć będzie pamiątką z tej „włóczęgi”. Po północy poszliśmy spać.

Następnego dnia rano pojechaliśmy do jednego z licznych „śniadaniowych” bufetów w hotelu na trasie wylotowej do Los Angeles. Po śniadaniu w drodze do samochodu postanowiliśmy na odchodne wrzucić po ostatnim dolarze do jednej z maszyn, które właśnie mijaliśmy... I tu zaczęła się zabawa. Tak jakby Las Vegas nie chciało nas puścić i igrało sobie z nami. Czuliśmy się jak na huśtawce, to wygrywaliśmy, to trochę przegraliśmy, potem znów zaczęliśmy wygrywać, aby ponownie przegrywać. Najzabawniejsze i wciągające było to, że tendencja była na naszą korzyść. Gdy jednak byliśmy ok. 50\$ na plusie postanowiliśmy, że jeśli nasza wygrana skurczy się do 40\$, to przestajemy grać, co nastąpiło prędzej niż później.



riety theatre spellbound. We spent the rest of the evening wandering from one casino to another, trying our luck – rather unsuccessfully, which by the way was included in the financial plan for our sojourn in Las Vegas. A couple of night photos will be a keepsake from that stroll. We went to sleep after midnight.

Next morning we went to one of the many “breakfast buffets” in a hotel next to the exit leading to Los Angeles. After breakfast, on our way to the car, we decided to say good-bye by throwing a coin each into one of the machines we were passing. And here the fun started. It was just as Las Vegas didn’t want to let us go and was playing tricks with us. We felt like we were on a swing, we won some, then we lost some, then again we started winning, and then losing again. But the funniest and most tempting part was that the tendency was in our favor. When we were at about \$40 ahead, we decided that if our gain shrank to \$40, we’d stop playing. It happened sooner than later.



W Las Vegas nie liczą się dni. Liczą się tylko noce. Zatem po dwóch nocach pełni niedosytu (choć z wygranymi na czysto 40\$), ale z poczuciem satysfakcji i zadowolenia – z poczuciem wygranej, opuściliśmy Las Vegas kierując się do największego w tych okolicach outletu. Tu mieliśmy wpaść jak zwykle tylko na chwilę..., która jak zwykle trwała kilka godzin. Tuż obok outletu znajdowało się ogromne centrum rozrywki ze zjeżdżalniami, kolejkami górskimi, no i oczywiście ociekające różnokolorowymi światłami i ozdobami kasyno. Krótko mówiąc, zaspokojenie potrzeb każdego klienta, któremu została się jeszcze jakaś kasa...

Wczesnym popołudniem pomknęliśmy prosto do LA zatrzymując się jedynie na przysłowiowe siusiu.

Droga minęła nam bez specjalnych sensacji, dopóki nie wjechaliśmy w obszar tzw. wielkiego (w przenośni i dosłownie) miasta. Niestety, dotarliśmy tu o wyjątkowo podłej porze natrafiając na szczyt szczytów w ruchu miejskim. Pięciopasmowe autostrady napakowane samochodami po brzegi. Prędkość ruchu od 2 do 20 km/godz. Koszmar. I tak przez 3 godziny!!! Skonani tym ślimaczeniem się w gigantycznych korkach dotarliśmy w końcu do kresu naszej podróży.

In Las Vegas days don't matter. Only nights do. So after two nights, with a feeling of insufficiency (although with the clean gain of \$40), but also with satisfaction – the feeling of victory, we were leaving Las Vegas heading for the largest outlet mall in the neighborhood. We were about to stop there for just a while... which lasted a few hours, as usual. Right next to the outlet mall, there was a giant amusement center with slides, roller coasters and – of course – with a casino, dripping with colorful lights and decorations. To put it bluntly: to satisfy the needs of every visitor who has some money left...

In the early afternoon we rushed straight to L.A.

There were no special events on our way, until we drove into the area of the so-called Greater (literally and figuratively) Los Angeles. Unfortunately, we got there at an extraordinarily lousy time of day, at the highest peak of the city rush hour. Five-lane highways were completely crammed with cars. The speed of the traffic was between 1 and 10 mph. Nightmare. And it lasted for three hours! Exhausted by crawling in those giant traffic jams we finally reached the destination of our journey.

**13/01/05 „Wszystko dobre...”**

Pomimo znakomicie rozwiązanego problemu autostrad i ulic w Los Angeles w godzinach szczytu przeżywa się istny horror niekończących się korków. Ta 10-milionowa metropolia poprzecinana autostradami jak żadne inne miasto, wciśnięta jest między morzem z jednej strony a łańcuchem gór z pozostałych stron. Powoduje to ogromne zanieczyszczenie powietrza, które nie ma ujścia. Tworzy się smog o kolorze siarki, przykrywający miasto niczym gigantyczny beret.

Architektura miasta jest trochę monotonna, budynki są najczęściej niskie, tylko w centrum jest trochę drapaczy chmur, ale za to jakich. Ostatnim „nabytkiem” architektonicznym LA jest Hala Koncertowa Walta Disneya, zbudowana z prawdziwym amerykańskim rozmachem i fantazją przez słynnego architekta Franka Gehrygo.

W tak dużym mieście – mimo jego bogactwa – naturalny jest widok różnic społecznych, choć nie tak ostrych jak w Nowym Jorku. Co jakiś czas widzi się kloszardów, których cały dobytek mieści się

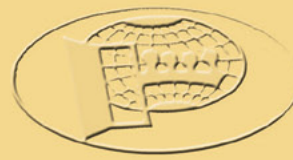
**13/01/05 “All that’s well...”**

Although the problem of Los Angeles highways and streets has been solved in a neat way, one still has to endure the horror of unending traffic jams. This 10-million metropolis, traversed by highways like no other city, is stuck between the sea on one side and a mountain range on the others. It results in air pollution, which has no way out of the city. The smog has the color of sulfur and covers the city like a giant hat.

The city architecture is a bit monotonous, the buildings are usually low, only in the center there are a few skyscrapers,

which by the way are impressive! The latest architectural “purchase” of L.A. is the Walt Disney Concert Hall, built with the typically American immensity and fantasy by the famous architect Frank Gehry.

In such a big city – despite its wealth – the presence of social differences is obvious, although they aren’t as sharp as in New York. Now and then one can see homeless people, whose all possessions fit into a shopping cart... It’s a depressing sight, not only here, in L.A.



w sklepowym wózku... Jest to przygnębiający widok, nie tylko w LA.

Będąc tu, tradycyjnie chodzimy już z rodziną na brunch do chińskiej restauracji (oczywiście w chińskiej dzielnicy). Potrawy wożą tam w wagonikach i można sobie samemu wybierać, czego dusza zapagnie. Jest tylko jeden szkopuł. Jeśli się nie zna chińskiego, to można się trochę naciąć na potrawy trudne do przełknięcia, ponieważ personel – ten od wagoników – ni w ząb nie mówi po angielsku. Nie bardzo to rozumiem, ale może to jakaś atrakcja turystyczna... Na szczęście zawsze jest z nami May – żona Bartka, która z racji swojego pochodzenia zna chiński, tak jak Bartek – polski.

W Marina del Ray można powrócić się po starej rybackiej przystani przerobionej na bardziej turystyczne już miejsce, choć nadal „oblegane” przez masę pelikanów, mew, a nawet czapli. Taki widok krzepi.

Dla kogoś, kto nigdy nie był w LA, interesującą atrakcją jest zapewne Hollywood, Beverly Hills, Studio MGM, w którym można prześledzić, a wręcz uczestniczyć w scenach z niektórych



When we are here, our whole family traditionally goes for a *brunch* to a Chinese restaurant (in the Chinese quarter, of course). It's a place where meals are carried in little wagons, allowing customers to choose whatever they like. There is only one problem. If you don't know Chinese, you can come across dishes that are hard to swallow, because the waiting staff – people pushing the wagons – don't say a word in English. I don't really understand why, but maybe it's some kind of tourist attraction... Luckily we always have May with us – Bartek's wife, who knows Chinese due to her origins, just the way Bartek knows Polish.

In Marina del Ray you can stroll around the old fisherman's harbor turned into a place more popular with tourists, although still “beleaguered” by a great number of pelicans, seagulls or even herons. These kind of sights make one stronger.

For someone who has never been to L.A., Hollywood, Beverly Hills and the MGM Studio might be interesting attractions. In the latter you can watch, and even take part in scenes from some



filmów, podziwiać triki filmowe, obejrzeć z bliska rekwizyty i ogólnie zetknąć się z filmem „od kuchni”. Warto też pojechać do obserwatorium usytuowanego na jednym ze wzgórz okalających LA. Rozpościera się stamtąd widok na całe miasto i ohydny żółto-brunatną pokrywkę smogu zawieszonego tuż nad nim.

Do LA można mieć różny stosunek emocjonalny, ale nie możemy zapominać, że pod względem znaczenia gospodarczego, kulturalnego, biznesowego itd. jest to druga (po NY) potęga w USA. Jest „stolicą” Kalifornii, której potencjał gospodarczy kwalifikowałby do najbogatszych państw świata, gdyby miała status państwa, a nie stanu!

Mówi się, że wszystko dobre, co się dobrze kończy. Nasza podróż szczęśliwie dotarła do końca mimo wielu obaw, przygód, wątpliwości i zdarzeń, nie zawsze tych najszcześniejszych. Gdybyśmy mieli powtórzyć tę trasę, na pewno wiele rzeczy byśmy zmienili, ale jedno jest pewne, że ponownie chcielibyśmy spotkać się ze wszystkimi cudownymi ludźmi, których spotkaliśmy w trakcie naszej amerykańskiej włóczęgi. To w dużej mierze dzięki nim – można powiedzieć, że nasza wyprawa była naprawdę udana.

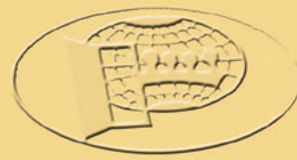
Dziękujemy wam wszystkim wspaniali servasowcy. Do rychłego zobaczenia.

movies, admire movie tricks, take a close look at some film accessories and generally get to know the movies “from behind the scenes”. It’s also worth going to the observatory situated on one of the hills surrounding L.A. From there you can see the whole city and the disgusting yellow-brown cover of smog suspended right over it.

Whatever emotional attitude to L.A. one may have, one shouldn’t forget that as far as the economic, cultural, business etc. meaning is concerned, it’s the second (after N.Y.) power in the U.S. It’s the “capital” of California, whose economic potential would situate it among the richest countries in the world, if it had the status of a country, instead of a state!

They say that all that’s well ends well. Our journey came to a happy end, despite many fears, adventures, doubts and events, not always the luckiest ones. If we were to repeat this route, we would definitely change a lot, but one thing is sure – we would like to meet all those wonderful people whom we met during our American wandering once again. It’s mainly because of them that we can say that we had a really successful trip.

Thank you all you wonderful Servas people! See you all soon!



Anna Sala-Wojnowska

Spotkanie z mnichem buddyjskim w Nepalu



We wrześniu 2011 roku wyruszałam sama w podróż do Nepalu. Moim marzeniem było powędrować niespiesznie po himalajskich szlakach. Na miesiąc przed wyprawą wysłałam wiele e-maili do członków Servasu w Kathmandu. Kilka osób odpisało mi, że niestety z różnych przyczyn nie mogą mnie ugościć. Amrit Ratna Tula-dhar napisał, że jego warunki mieszkalne nie pozwalają na ugoszczenie mnie, natomiast chętnie zostanie moim day hostem i oprowadzi mnie po Dolinie Kathmandu. Spędziliśmy z Amritą 2 dni i jak się okazało chwilę później, Amrit opowiedział o mnie swojemu przyjacielowi, który był jednym z pierwszych członków Servasu w Nepalu i znaną w Nepalu postacią. Kiedy wieczorem wróciłam do hostelu, w recepcji czekała na mnie wiadomość od buddyjskiego mnicha Krishna Mana z prośbą o kontakt. Nie miałam pojęcia, skąd tenże mnich mnie zna, ale następnego dnia oddzwoniłam pod podany numer i usłyszałam w słuchawce bardzo życzliwy, radosny i wdzięczny głos mojego nowego przyjaciela: „Ania, dlaczego do mnie nie napisałaś, że przyjeżdżasz do Kathmandu? Byłbym Cię odebrał z lot-

niska. Kiedy mogę po Ciebie przyjechać? Zapraszam Cię do domu mojego syna na tak długo, jak zechcesz z nami pozostać”. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Byłam sama w porze monsunowej, mało kto tam podróżuje w tym

czasie. Myślałam, że to koniec świata, jestem w mieście, które przez pierwsze dwa dni wydawało mi się bardzo surrealistyczne, a tu nagle poczułam się jak w domu.

Po raz kolejny będąc w podróży uzmysłowiłam sobie, że otwarte domy i serca są wszędzie. Odpowiedziałam, że jutro o 12.00 będę czekać na spotkanie w hostelu na Thamelu. Następnego dnia punktualnie o 12.00 w moim pokoju pojawił się pełen energii, entuzjazmu i bardzo uśmiechnięty buddyjski lama. Miał w sobie tyle życia, że trudno było mi ocenić jego wiek. Przyjechał, jak się okazało, ze swoją adoptowaną córką, aby i ona mogła mnie poznać. Opowiedzieli mi historię jej adopcji, kiedy to młoda dziewczyna z jednej z najniższych kast pokochała chłopka z wyższej kasy. System kastowy w Nepalu został zniesiony, ale tylko na papierze. Rodzice ukochanego zaprotestowali przeciwko tej relacji, zabronili młodemu się spotykać. Wtedy



Sanktuarium Annapurny



Ashmita poznała mnicha Krishna Mana, który postanowił jej pomóc. Uczynił ją adopcyjną córką i dzięki temu jej pozycja społeczna wzrosła, a rodzice ukochanego wyrazili zgodę na ślub. Kiedy stała przede mną w hostelowym pokoju pomagając mi pozbierać moje rzeczy, była w 3 miesiącu ciąży i powiedziała mi, że dzięki spotkaniu Krishna Mana, który „żyje z sercem na dłoni”, jej życie nabrało sensu i że jest obecnie bardzo szczęśliwa.

Krishna Man zarządził szybką ewakuację do domu jego syna, zapakował moje rzeczy do taksówki i tak nie wiedząc, dokąd

jadę, ruszyłam w bardzo osobliwą podróż przez Kathmandu z człowiekiem, który od początku wydał mi się bardzo bliski. Krishna Man pomimo, jak się okazało, bardzo sędziwego wieku zaplanował dla mnie bardzo bogaty i ambitny plan na następnych siedem dni. Momentami prosiłam go, byśmy zwolnili tempo, bo przy tej temperaturze i wilgotności nie dają rady. Poznałam wielu jego przyjaciół, znajomych i rodzinę oraz miejsca, do których turyści zdecydowanie nie mają dostępu. Spędziłam tydzień w domu jego syna w towarzystwie żony

W Sanktuarium Annapurny
– masyw Annapurny o świcie



syna, trzech wnuczek Krishna Mana i młodej gosposi, która na dwa tygodnie przed moim przyjazdem została przywieziona z małej himalajskiej wioski nieopodal Tybetu. Wnuczki mówiły na nią Bobi, nikt nie znał jej imienia. Bobi chodziła za mną na palcach jak kot i zastygała w bezruchu, kiedy przechodziłam obok. Czułam się skrępowana jej reakcjami. Bobi wpatrywała się we mnie ukradkiem i patrzyła z takim uwielbieniem, że nie wiedziałam, jak na to odpowiedzieć.

Kiedy dotarliśmy do rodzinnego domu mojego opiekuna, Bobi podała nam lunch i butelkę alkoholu, wtedy Krishna Man opowiedział swoją bardzo ciekawą historię. Wcześniej powie-

Autorka i mnich Krishna Man



Mnich Krishna Man i jego projekt świątyni wszystkich religii



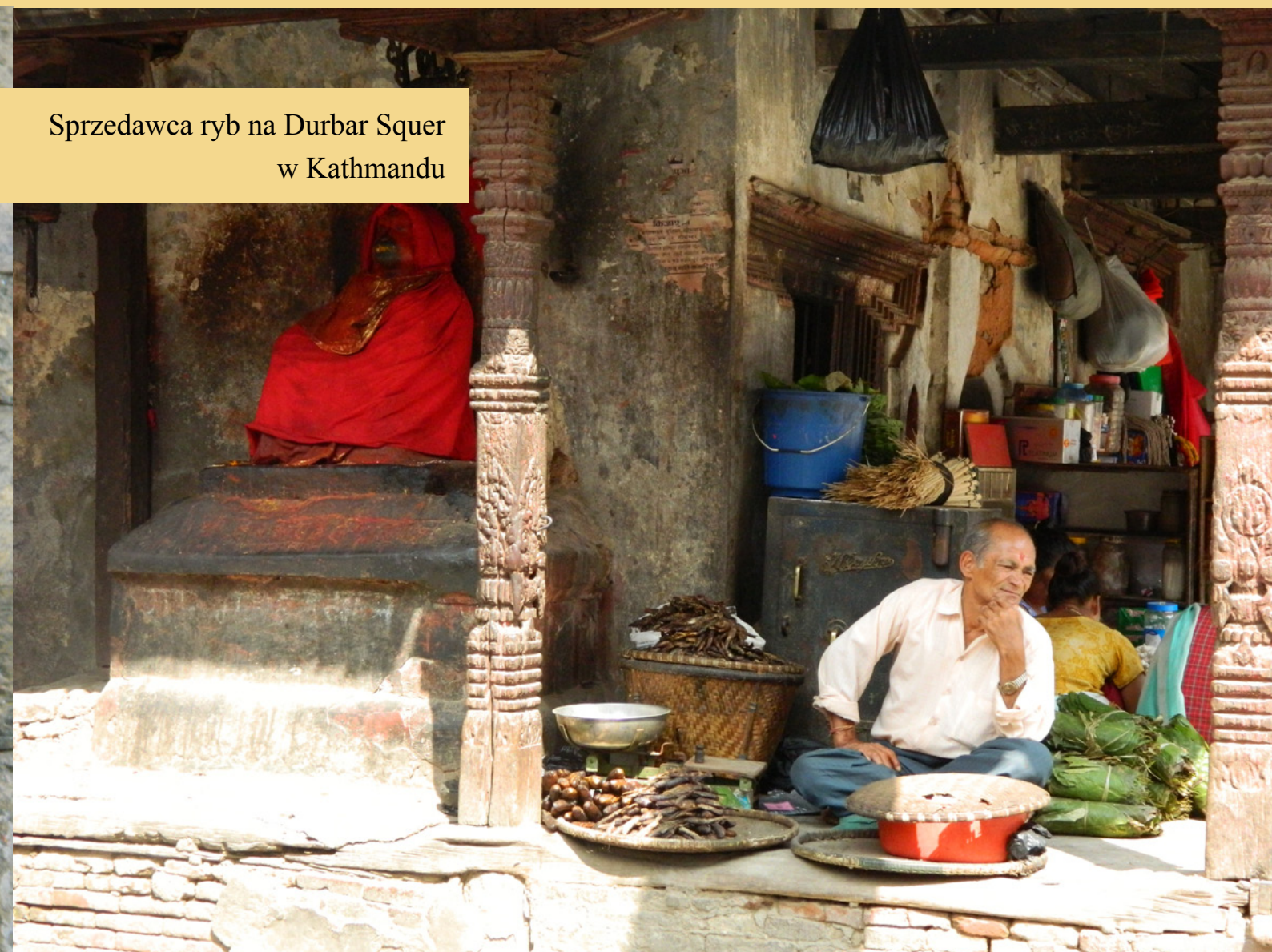
dział: „Ania jesteś od teraz gościem w moim rodzinnym domu, tu się urodziłem i tu będziesz traktowana niemalże jak Budda”, i tak też się czułam. Przez cały czas pobytu rodzina otaczała mnie taką serdecznością, że bardzo trudno było mi się z nimi rozstać.

Krishna Man, zanim został mnichem buddyjskim w wieku ponad 60 lat, był ojcem i mężem oraz pracownikiem Ambasady Amerykańskiej w Kathmandu. Wychowany przez ojca hindusa i matkę buddystkę, po śmierci ojca spełnił marzenie

i wypełnił wolę matki, by jeden z jej synów został buddyjskim mnichem. Poprosił swoją żonę oraz dzieci o zgodę i kiedy ją wyrazili, wstąpił do klasztoru. Jego żona również chciała zostać mniszką, ale córka nie wyraziła zgody, powiedziała, że „jeden rodzic w klasztorze wystarczy”. Jak sam o sobie powiedział, był niesfornym mnichem, bo bardzo był ciekawy świata i uwielbiał wędrować. Jak tylko nadarzyła się okazja, wyjechał do Stanów Zjednoczonych i wziął udział w marszu pokojowym z San Francisco do Nowego Jorku.



Sadhu – hinduski wędrowny asceta w Kathmandu



Sprzedawca ryb na Durbar Squer w Kathmandu



W Nowym Jorku odwiedził Metropolitan Museum. Podczas zwiedzania sali z instrumentami muzycznymi z całego świata, nie potrafił zrozumieć, dlaczego nie znajdują się tam eksponaty z Nepalu. Postanowił wypełnić tę lukę i po powrocie do kraju przez 10 lat wędrował po himalajskich wioskach i zbierał nepalskie instrumenty, które wysłał w darze do Muzeum wraz z listem. Otrzymał podziękowanie i zapłatę za swoją pracę. Na gablocie z instrumentami z Nepalu jest zamieszczony opis, że jest to dar od buddyjskiego mnicha Krishna Mana. Mój gospodarz poprosił mnie, że jeśli kiedyś tam dotrę w moich podróżach, w co nie wątpił, żebym zrobiła przy tej gablocie zdjęcie i koniecznie mu je przesłała. Krishna Man brał wielokrotnie udział w marszach pokojowych i otrzymał szereg pokojowych nagród. Nade wszystko był człowiekiem pełnym entuzjazmu, radości i uwielbiał się dzielić tym, co miał.

Zapadła noc, w Kathmandu – jak co wieczór – wyłączono prąd. Siedzieliśmy na podłodze rozmawiając siódmą godzinę z rzędu i tematami nie było końca. Krishna Man opowiadał mi o swojej koncepcji świątyni wszystkich religii. Planował budowę takiej świątyni na obrzeżach Kathmandu. Kopie jego projektu znajdują się w trzech miejscach w mieście. Obecnie mnich poszukuje sponsorów, by zrealizować swoją wizję. Gdziekolwiek się nie pojawialiśmy, Krishna Man był witany jak osoba bliska sercu. Budził wiele radości, często śmiał się na całe gardło. Dzieliłam z nim jego radość życia na każdym kroku. Mieszkaliśmy przez

tydzień w jednym pokoju, spędziłam z nim cały dzień w klasztorze koło Boudy, w którym mieszkał i pracował, gdzie wzięłam udział w Pudży i poznałam Site.

Sita miała 20 lat i niedawno przeprowadziła się do Kathmandu z małej wioski. Całe swoje życie spędziła w jednej izbie z rodziną, jedząc jeden posiłek dziennie. Była bardzo inteligentną i zdecydowaną młodą kobietą. Chciała się uczyć, chciała znaleźć pracę. Los na jej drodze postawił Krishna Mana, który pomagał wielu młodym ludziom. Krishna Man, kiedy się poznałyśmy, wpadł na jeden ze swoich genialnych pomysłów i od razu tak się nim ucieszył, że nie sposób było mu odmówić. Zapytał mnie, czy nie

Autorka i Sita w Deurali na 3000 m n.p.m.
w drodze do ABC (Annapurna Base Camp)





zabrałabym Sity ze sobą na trekking do Base Camp Annapurny. Opowiedział mi o tym, jak to wiele lat temu jeden z pracowników ambasady opłacił mu taki trekking i że były to jedne z nielicznych wtedy wakacji w jego życiu i że do dzisiaj jest mu za to bardzo wdzięczny. Zamierzałam sama powędrować po Himalajach, ale kiedy pojawił się ten pomysł, wydał się tak oczywisty, że decyzja zapadła. Po kilku dniach wyruszyliśmy do Pokhary, Sita wprawdzie mówiła po angielsku kilkanaście słów, a pomimo tego doskonale się rozumialiśmy. Nasza wspólna podróż trwała dwa tygodnie i spędziłyśmy ten czas dużo się śmiejąc, milcząc, wzruszając. Sita wielokrotnie płakała dziękując mi, wielu bogom, których imion nie jestem w stanie odtworzyć i Krishna Manowi. Byłyśmy obie szczęśliwe. Szlak do Bazy Wyjściowej na Annapurnę Południową był pusty. Codziennie po 14.00 zaczynał padać wannami ciepły monsun, ale nam to w niczym nie przeszkadzało. Wędrowałyśmy przez przepiękne, niezatłoczone, zielone i ociekające wodospadami Himalaje. Zachwytom nie było końca. Dzięki wspólnej wędrów-

ce z Sitą poznałam wiele ubogich domów i ich bardzo życzliwych mieszkańców w wioskach, przez które przechodziłyśmy. Sita wszystkim opowiadała o tym, że zabrałam ją w jej pierwszą w życiu podróż i że jest to dla niej doświadczenie niezwykle, za co będzie wdzięczna do końca życia. Wędrowanie w takiej atmosferze wdzięczności i radości również było bardzo ważnym

doświadczeniem. Stojąc w Sanktuarium Annapurny o godzinie 6.00 nad ranem, tuż przed tym zanim napłynęły chmury i ponownie ukryły przed nami widok na szczyty, obie płakałyśmy ze wzruszenia. Było tak pięknie. Obok nas stało w ciszy jeszcze kilka osób z całego świata. Nikt nie śmiał przerwać tej dostojnej ciszy. Trzy dni później walcząc z pijawkami podziwiałśmy widok na Daulaghiri.

Kiedy schodziłyśmy z gór tuż przed naszym powrotem do Pokhary, w Nepalu miało miejsce trzęsienie ziemi. Od strony indyjskiej została zniszczona cała wieś, w Kathmandu było kilka ofiar. Tam gdzie byłyśmy, nie odczułyśmy wstrząsów. O trzęsieniu dowiedziałyśmy się dzień później. Jedynie na szlaku zastanawiałyśmy się nad spo-



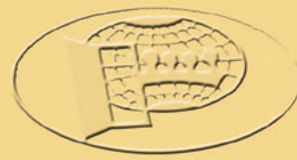


rych rozmiarów, świeżym osuwiskiem z gliny i kamieni. Musiało mieć to miejsce chwilę przed naszym przyjściem. My szczęśliwie dotarliśmy w środku nocy do naszego hostelu w Pokharze, po 11 godzinach trekkingu tego dnia i pokonaniu górskiej trasy taksówką bez wycieraczek podczas gigantycznego obierwania chmury. Po jednej stronie była półka skalna po drugiej przepaść. Taksówkarz wystawiając głowę przez okno przedzierał się środkiem dwupasmowej drogi, bo tylko tam był jeszcze obecny asfalt w oceanie deszczu. Na nasze szczęście byliśmy zbyt zmęczone, by przeżywać potencjalne zagrożenia. Taksówkarz nie miał możliwości przeczekania tej niebezpiecznej ulewy, jedyne co mógł zrobić, to jechać z pasażerami do celu.

Podobnie jak z Krishna Manem, trudno było mi się pożegnać z Sitą. W Nepalu doznałam takiej serdeczności i okazano mi tyle serca, jak nigdzie indziej na świecie. Wcześniej byłam goszczona przez fantastycznych gospodarzy z Servasu w Stambule, w Portugalii, we Włoszech, w Anglii, na Bornholmie i w Polsce. Wszystkie te spotkania były wyjątkowe, natomiast tydzień spędzony z Krishna Manem na zawsze zostanie w moim sercu. Zapamiętam go, jak w trakcie śniadania zbiera nam z talerzy jedzenie do woreczka, bo właśnie jedzie na spotkanie ze swoją adoptowaną córką i nie chce przyjechać z pustymi rękami. Nepal to wciąż ubogi kraj, ale jego mieszkańcy mają gorące serca. Serdecznie dziękuję wszystkim gospodarzom, dzięki którym za każdym razem utwierdzam się w przekonaniu, że świat jest przyjazny, bezpieczny i życzliwy.



W Sanktuarium Annapurny



Część II

RELACJE GOSPODARZY



Renata Bednarz

Bill w Chrzanowie

Wiśniowy czas. Radiowe spotkanie. Wspomnienie historii



Profesor Bill Grum przyleciał z Kanady i był moim pierwszym gościem ze stowarzyszenia Servas (11–14.07.2009 r.). Przypadły mi do serca jego odwiedziny, gdyż tak samo jak ja jest matematykiem. Ciekawa byłam, jakie ma pedagogiczne doświadczenia i jak przebiega kształcenie na poziomie matematyki wyższej za Wielką Wodą.

Oczekiwałam go późnym popołudniem 11 lipca 2009 r. na stacji kolejowej w Chrzanowie. Początkowo ze swym niezbyt mocnym angielskim obawiałam się bariery językowej, ale uznałam, że jeśli osoby mają dobre chęci, aby się porozumieć, to nie będzie kłopotu z naszą komunikacją, wszystko zależy od inwencji twórczej.

Mam nieduże mieszkanie, więc aby Bill czuł się swobodnie, o noclegi dla niego poprosiłam moją przyjaciółkę, która blisko mnie ma dom z ogrodem. Ewa przeznaczyła dla Billa gościnny pokój i też cieszyła się z jego odwiedzin. Odprowadzałam go do niej późnym wieczorem i odbierałam przed śniadaniem. Kiedy siadywał na ogrodowej ławce, towarzyszyli mu pies Twister, koza Dziunia, kilka kotów i pachnące kwiaty. Twister, najmądrzejszy pies w Chrzanowie, budzi Ewę, kiedy trzeba i dobrze strzeże jej domu.

Koza była dla Billa tym większą przyrodniczą ciekawostką, że mieszkamy z Ewą w ścisłym centrum miasta i taka scenka rodzajowa należy do rzadkości.

Dostojna Dziunia najbardziej lubi liście kapusty, ale książką też nie pogardzi.





Przyjęłam Billa polskim obyczajem i starałam się tak organizować zajęcia, aby nasz wspólnie spędzony czas był kiedyś dla niego dobrym wspomnieniem.

Pierwszy dzień upłynął nam na poznawaniu się i ustalaniu szczegółów, a drugi spędziliśmy w Krakowie. Dopisywała ładna pogoda, spacerowaliśmy po zabytkowych uliczkach i zwiedzaliśmy najbardziej interesujące w tym królewskim grodzie miejsca. Tego dnia miałam również dla Billa nie lada niespodziankę. Były nią odwiedziny u mojego przyjaciela w Radiu Kraków. Dopiero po spacerze powiedziałam Billowi, że zaprosił nas słynny prezenter, dziennikarz i muzyk Antoni Krupa. Znamy się od kilku lat z forum „Okolice Bluesa”, do którego podłączone są cztery jego audycje: jazzowy „Helikon”, „Radiowa Kafejka”, „Alternatywna Lista Przebojów” oraz „Songi-Bluesy-Ballady”.

Antoni, kiedy tylko może, zaprasza forumowiczów i rozmawiamy o muzyce lub opowiadam radiosłuchaczom o swoich podróżach.

Bill jeszcze nigdy nie był w takim wyjątkowym miejscu, dlatego ucieszył się, że z bliska zobaczy, jak realizowana jest audycja i jak wygląda praca prezentera.

Czas spędzony w radiu był dla nas bardzo interesujący również dlatego, że byliśmy obserwatorami jeszcze jednych odwiedzin. Otóż tego dnia, miała miejsce w Krakowie wielka artystyczna feta i do uroczystego odciśnięcia dłoni w Alei Gwiazd zostali zaproszeni artyści z legendarnego zespołu „Maanam”. Ze



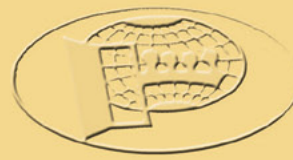
W Radiu Kraków

słonecznego Neapolu przyleciał lider tej grupy, autor tekstów, kompozytor i gitarzysta Marek Jackowski, z Warszawy dojechała wokalistka Kora, a z Częstochowy autor tekstów, czołowy gitarzysta jazzowy i rockowy Janusz Yanina Iwański – założyciel formacji „Tie Break”, często koncertujący ze Stanisławem Sojką, a w ostatnich latach grał także w „Maanam”. Licznie dopisała publiczność i przy jej aplauzie artyści pozostawili w Alei Gwiazd trwały ślad swoich dłoni. Wkrótce po tej uroczystości Marek Jackowski, Janusz Yanina Iwański i współpracująca z nimi Marta Gutowska zawitali do Radia Kraków i byli honorowymi gośćmi Antoniego Krupy. W trakcie realizowania audycji muzycy udzielili wywiadu, w którym opowiedzieli słuchaczom o swoim nowym zespole „The Goodboys” i płycie, nad którą pracują.



Bill i Antoni Krupa, który tego dnia prowadzi audycję „Radiowa Kafejka”.

Mam zaszczyt obsługiwać internetową stronę Antoniego Krupy: www.antonikrupa.pl



Marta Gutowska, Marek Jackowski, Janusz Yanina Iwański, Antoni Krupa i Bill zainteresowany tym niesamowitym spotkaniem.



A tu w wykonaniu Janusza Yaniny Iwańskiego „Motyli Noc” – jeden z utworów płyty „The Goodboys”, który artysta zaprezentował w polskiej telewizji:
<http://www.youtube.com/watch?v=Knqted4fTeU>



W Radiu spędziliśmy kilka niezwykłych godzin, wypełnionych rozmowami o projekcie „The Goodboys” oraz książce Antoniego Krupy „Miasto błękitnych nut” i jego pierwszej płycie. Niezapomniane chwile.

Nazajutrz realizowaliśmy z Billem dalszy ciąg naszego programu. Tym razem wybraliśmy się do Oświęcimia. Mój matematyczny kolega chciał zwiedzić Muzeum Obozu Koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau. Odpaliłam rakietę, czyli matiza i ruszyliśmy w drogę.



W Muzeum oglądaliśmy bloki, w których przetrzymywano więźniów, patrzyliśmy na dziesiątki fotografii przedstawiających ich twarze oraz krematorium, miejsce eksterminacji i hitlerowskich zbrodni. Byliśmy przejęci ogromem nieszczęść zapisanych w kadrach dokumentalnego filmu, który zaprezentowano zwiedzającym. Pomimo upływu lat, duch śmierci nadal jest w Auschwitz-Birkenau obecny.

Kiedy opuszczaliśmy to smutne miejsce, na parkingu czekała na mnie miła niespodzianka. Z daleka pomachał mi kolega z odległego o kilkaset kilometrów Ostrowa Wielkopolskiego. Widujemy się raptem kilka razy do roku na muzycznych koncertach i festiwalach. Andrzeja Staszoka nie można nie pamiętać, robi znakomite zdjęcia. Tym razem przyjechał do Oświęcimia jako opiekun młodzieży z Ostrowskiego Centrum Kultury.



Tak to bywa w nieodgadnionym scenariuszu naszego życia, że góra z górą się nie spotka, ale człowiek z człowiekiem jak najbardziej.



Popołudnia spędzaliśmy z Billem rozmawiając we wszystkich językach świata, a wieczorem słuchaliśmy muzyki i zjadaliśmy polskie przysmaki. Bill już na początku swej wizyty zakomunikował mi, że oddaje się w moje kulinarne ręce i w trosce o moje zdrowie nie będzie eksperymentował w kuchni.

Zachodziliśmy też do Ewy, która onegdaj mieszkała kilka lat w Iranie i do dziś specjalizuje się w arabskich potrawach. Odpoczywaliśmy w jej ogrodzie i zjadaliśmy prosto z drzewa soczyste wiśnie, które nad wyraz obrodziły tego roku.



Starłam się, aby Bill mimo zorganizowanego czasu, miał też swoją prywatną przestrzeń. Mógł wyłączyć się z życia czytając książkę lub przy komputerze odpisywać na korespondencję mailową.

Zanim czwartego dnia wyekspediowałam go w dalszą drogę, skontaktowałam się z osobą, która miała go przejąć w Krakowie. Uzgodniliśmy, na którym przystanku ma wysiąść i na jaki numer telefonu zadzwonić, że już dojechał i czeka.

Poprosiłam też Billa, aby zgodnie z regulaminem Servasu opisał w kilku słowach wrażenia z tych kilku wspólnie spędzonych dni, a potem zaopatrując go w kanapki odprowadziłam na dworzec autobusowy. Życzyłam mu jak najlepszych wrażeń w dalszej podróży.

Napisał:

It was a great pleasure for me to meet and visit with Renia for three nights in Chrzanow. She was always mindful of my needs as a traveler throughout my entire stay. She provided me with great insight into her life and introduced me to her friends and neighbors. The food and accommodation were excellent. We traveled together to Krakow where I had the opportunity to observe a live radio interview show conducted by one of her good friends. In short, Renia was an excellent Servas host and I would recommend her to other Servas travelers that may visit her region of Poland. Thank you so much Renia.

William Grum.

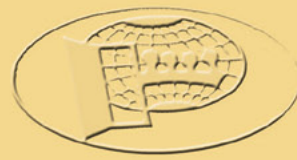
Pozdrawiam serdecznie wszystkich bratniaków z naszego stowarzyszenia i cieszę się, że mogę tę relację dołączyć do książki, którą razem z innymi członkami tworzymy.

Renata Bednarz
www.zielonagalazka.pl



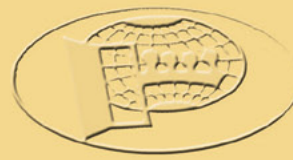
Część III

**RELACJE
CUDZOZIEMCÓW
Z PODRÓŻY PO POLSCE**



Rossaukhon

Dear my host and hostess



June 6, 2013

Dear my host and hostess,

How are you? I returned home in Wisconsin, U.S.A. now; I arrived here on the night of June 2. I am still adjusting with the time zone here, but I feel much better today. I plan on returning to work next week.

I would like to thank all of you that helped make my trip possible, my journey interesting and fun. The fond memories will stay in my mind as long as I live! When I think about your kindness, it brings warmth to my heart.

From Prague-Wroclaw-Poznan-Gdansk-Sopot-Gdynia-Warsaw-Cracow-Bratislava-Ruzomberok-Banska Bystrica-Vienna-

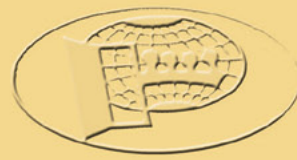
Linz-Salzburg-Graz-Zagerb-Split-Korcula-Dubrovnik-Sarajevo-Plitvice National Park-Zadar-Budapest-Szeged-Budapest, I encountered tons of interesting people, visited beautiful places, and experienced wonderful things that I have never experienced before.

It was my honor and pleasure to meet all of you. I felt more mature after my trip, and had more understanding about people and things. As Servas mission---bring peace to the world by traveling.

If you ever have a chance to visit America, do not forget to put Wisconsin state in your list, my house will always welcome you. I hope that I amused you in the special way that you don't mind to keep in touch with me for years to come].

Best regards,

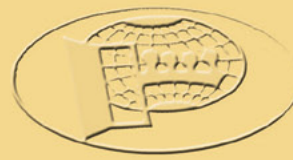
Rossaukhon



Irv Thomas

Bumming Poland with backpack and chauffeur*

* Wspomnienia oraz rysunki wykonane przez autora pochodzą z książki *Innocence abroad. Adventuring through Europe at 64 on \$100 per week*, wydanej nakładem autora w Kalifornii w 1994 r. po podróży po Europie odbytej w 1991 r. w wieku 64 lat



I walked south out of town alongside the river levee on a quiet, tree-shaded road — an easy four-miles, hardly disturbed by vehicle traffic, to the Berlin-Warsaw highway. Couples and small family groups strolled by with buckets of berries from a small farmer's market and bazaar, just off the roadway in a grove of trees. I looked briefly in on it, and was boggled by prices like 15,000 zlotys per pound. I finally bought a big hunk of goat cheese for 7,875 zlotys (sixty-eight cents), to nibble on my way.

It must have been past noon when I reached the highway, a divided highspeed strip, two lanes on either side. I paused on the overpass to contemplate the idling line of huge trucks patiently waiting on their border clearance into Germany. In the other direction only an occasional car zipped by, and I could see the prospect of a long wait ahead of me. But the mid-day sun wasn't oppressive; I had only my own impatience to contend with.

I was merely standing there absorbed in these ruminations, gazing down at the scene, when suddenly a big gray sedan was alongside of me, its driver speaking English with a slight accent. He asked where I was going and if I wanted a ride! There are times when I can't quite believe my own life.

He was German, out to sample the Polish countryside, he said, for maybe a day or two, not even sure of where he'd be going. It was fine with me — neither was I. His name was Al-

bert: mid-30's, short, bespectacled, with curly dark hair fringing a premature baldness — the entire aspect lending a cerebral appearance, which was not misleading. Albert had an inquiring mind interested in everything, though nothing very deeply. In fact, a dispassionate objectivity seemed to be his only passion. He evidenced remarkably little personal involvement with anything he talked about.

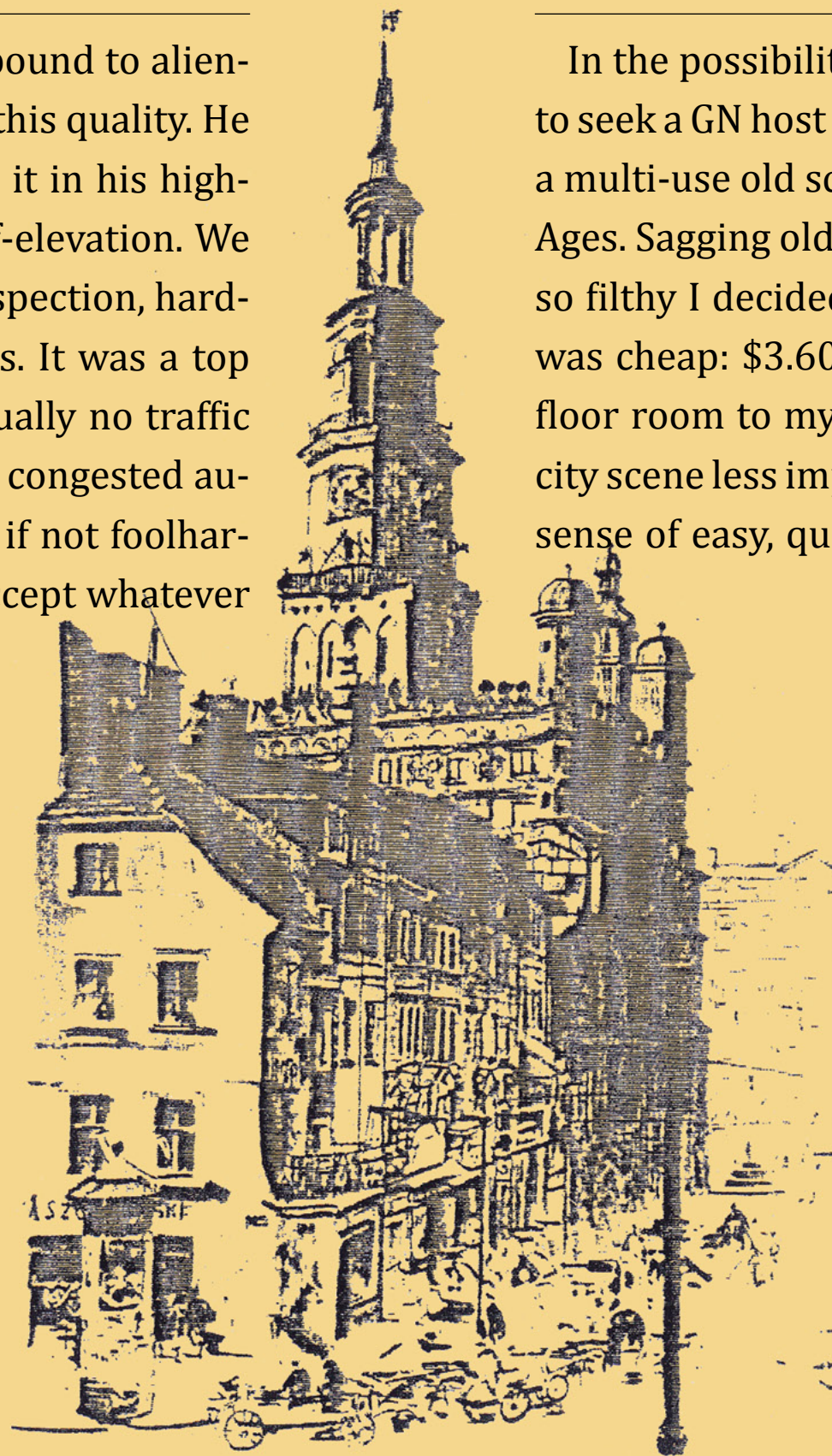
We discovered very quickly, though, something in common besides this perfect mutual timing for a visit into Poland, Albert was a semi-committed follower of Bhagwan Shree Rajneesh, who had recently died in Poona, India, after having outraged the good people of Oregon for several years and then been banished from further residence in the U.S. Albert had lived at the Poona Ashram for more than a year, until shortly before the charismatic Bhagwan's death. For my part, I had stayed a month or two at the Oregon community, Rajneeshpuram, as a visiting outsider in the early 1980s before the place was convulsed and destroyed by scandal. That unfortunate finale overshadowed a remarkable instance of communal development with much more to its credit than is generally allowed in the wake of what ultimately came of it.

But they set their own fate in motion. A defining characteristic of those who were deeply involved in the Rajneesh experience was their inner circle attitude, grown from a conviction that they were more in touch with life's mysterious depth



than the common herd — an elitism that was bound to alienate them from the rest of humanity. Albert had this quality. He skimmed the countryside quite insulated from it in his high-profile BMW, almost godlike in a bubble of self-elevation. We sped through towns that cried out for closer inspection, hardly stopping long enough for personal urgencies. It was a top quality highway across level country with virtually no traffic to slow us, and Albert — fresh from Germany's congested autobahns — took it at speeds that were foolish, if not foolhardy. From years of hitchhiking, I've learned to accept whatever comes and stay cool. But had Albert asked, I was not enjoying it nearly as much as he seemed to be. But then again, I hadn't even had to raise a thumb: I could hardly complain.

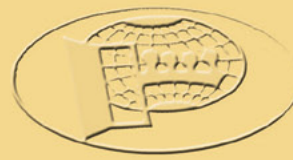
We reached Poznan, a third of the way to Warsaw and the only sizable city on the route, just before four in the afternoon. This was as far as Albert had intended to go. But it was such a fine road, beyond all his expectations, that he was tempted, he said, to drive all the way to Warsaw. Not without a night to sleep on the question, however. He found a hotel to suit his taste and pocketbook — on neither of which I could concur. So we parted at that point, agreeing to meet there for breakfast.



The Town Hall and ,retinue1 in Poznan's market square,
as portrayed on a 1929 postcard.

In the possibility of a morning ride to Warsaw I decided not to seek a GN host and made my way instead to a youth hostel in a multi-use old school building. It was a hostel out of the Dark Ages. Sagging old cots with barely adequate bedding; showers so filthy I decided against taking one; no toilet paper ... but it was cheap: \$3.60 for the night. And private — an entire top-floor room to myself. Dormer windows looked out on a mid-city scene less imposing than that of Leipzig, but with the same sense of easy, quiet living — a simplicity sharply contrasting the haste and hustle of Berlin. Something about it, in fact — perhaps the entire lack of dazzle and show, and the streetcars down below — took me back again to the San Francisco of my youth. The narrow little trams, so crowded they appeared to have been built for children or pygmies, ran in tandem pairs and were tapered at each end, reminiscent of futuristic design in the 1930s.

Free of Albert, and with a few daylight hours left to explore my first Polish city, I set out walking and followed my instincts toward the center of town — a great market square. It was like stepping into a long-vanished age, for hardly



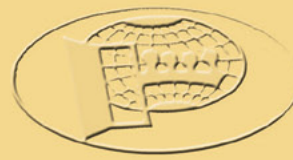
a single visible structure could have been less than two-hundred years old. A turreted, vintage city hall, its pedigree indicated by an emblem and a date: 1555, occupied center stage in the square. Trailing to the rear of it, a string of marvelously narrow buildings of jumbled height and roof-line — a retinue, like an undisciplined line of soldiers following their leader in comic disarray. While around the perimeter, a phalanx of ancient structures stood in witness, like a sober gallery of judges, lending dignity to the jocular effect of the central scene.

Somewhere beyond the square I came to a massive, bulky church, clearly very old. It was plain and drab, huddled by equally unattractive buildings that had long ago crowded into its onetime grounds leaving no airspace whatever. I'd have gone on by, but the door was open and so I hazarded a quick look — and was struck, as if by an outpouring of choir song, by what I saw: an interior of carved and polished hardwood with sculpture everywhere, all in a color scheme of black with gold trim. My eyes went upward along massive marble pillars to artwork on the ceiling — pillars that appeared to be solid black marble all the way up, for I could detect no break in them, although their girth could not have been embraced by two men with outstretched arms. Interestingly, not a trace of stained glass could be seen. Yet, it took my breath away like no other cathedral I'd seen — and its drab exterior had given me not the slightest hint.

The next morning, slow in waking and unable to reach Albert by phone, I took a taxi for the several blocks to his hotel, unreasonably fearful of losing the possible ride to Warsaw. In my tourist-haste I got burned, paying more for that short ride than the night's lodging had cost. But I found Albert waiting, and my imprudent loss was offset when he bought me breakfast in the hotel. He even let me shower in his room before checking out.

We did some further local sightseeing before taking to the road again. I found a bookstore, and a beautifully illustrated volume on Secesja style, Poland's own version of France's Art Nouveau. It cost me \$6.50, a fraction of its likely value in the States, were it even available there, and it suggested a fresh track for old pursuits that had been frustrated ever since I left England. Time and again on the continent I had walked into book shops from pure habit — pure useless habit, it had become, for all I saw was French, Belgian, Dutch and German texts. From now on, I would enjoy my old pastime in the universal language of art!

We made the 190-mile dash to Warsaw like Barney Oldfield wheeling it for a trophy. Such traffic as we encountered in this level farmland country moved at a snail's pace, probably set by the long, barrow-like horse-drawn wagons still in use here. More than once Albert had to brake sharply, exercising all the control he had, to avoid some vehicle changing lanes at thirty



miles per hour — the poor peasant at the wheel hardly expecting anything like Albert on the road.

We got to Warsaw at three in the afternoon. Albert managed to find a tourist office where someone who spoke English was willing to make phone calls for us — to GN hosts for me and hotel possibilities for Albert. It required six tries before I finally made a connection on mine with a *possible* host: they were waiting for another traveler who was already two days late in arrival, and I took the opening on that edge of uncertainty. Albert had several leads he was anxious to check out, so we followed that route first and he took a room at the second stop. All of a sudden, then, he tired of being my chauffeur. He was quite weary, he said, and just wanted to get and could I please find my own way to the host I was headed for.

It's strange, how easily one gets accustomed to the ever-present utility and of an automobile. I felt momentarily angry with Albert for wanting his own life back! But I contained it and bid him a cheerful farewell — after all, he had taken me clear across Poland.

IT TOOK ME A FEW MOMENTS to return to the headspace of the solitary traveler and grasp the responsibility of finding my way in this huge city. I had a poor excuse for a city map, picked up at the tourist office. It didn't even extend to where my host lived, which we had pin-pointed on Albert's larger map. But I knew that a bus along this boulevard went out there, and

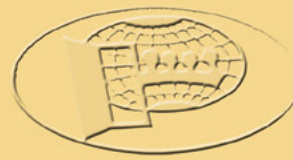
I knew the sort of intersection to watch for once I reached the vicinity.

Things, of course, never look like they're supposed to. I got off the bus too soon because I was afraid of getting off too late. But could I even be sure that I hadn't already done so? I was at a major intersection that was off my map, in an open area with good visibility, guessing that my destination should be not far ahead. I tried to make sure — if only I could find someone among the crowd at the bus stop who understood me. But one after another gave me an uncomprehending stare. This was the nightmare that had always haunted me: lost in Warsaw without a map, and nothing but blank looks for my every entreaty. I finally had to assume I must be right, and continue on down the main boulevard toward a row of condo-style high-rises in the middle distance.

I passed no one at all. It was very much like new suburban development areas at home, where nothing but automobiles are encountered. Finally, up ahead, a young woman came toward me. I paused as we passed, hesitantly asking whether she spoke any English.

"Sure do!" came the bright, smiling response. "Wherey'from?"

An American! I could hardly trust my ears. It's not so rare to hear English spoken abroad, usually with German or Dutch accent, or else almost always British — but the distinctive sound of an American voice, in this remote Warsaw moment, was almost rapturous.



Not merely American, it turned out, but from my old San Francisco backyard: El Cerrito, California. She was in Warsaw on a student exchange for the summer. We stood and talked for awhile, and she confirmed that I was going in the right direction, probably to one of those very condos. Just as we turned toward our separate paths she tossed me a parting suggestion: “Go to Krakow — it’s worth seeing.”

My Warsaw hosts were Bogdan and Ewa, he an architect who worked at home, and she an English teacher, completely fluent. Their condo apartment was a bit on the crowded side with two small children and all of Bogdan’s work materials, but I was frankly surprised at their well-provisioned life, after all I had thus far seen in eastern Europe. The only thing in the kitchen that harked back to earlier times in my life was a table-affixed, hand-turned meat grinder. For all else, I could as eas-

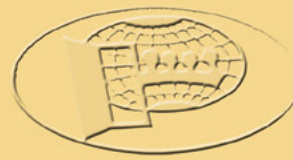
ily have been in a modern middle-class American apartment. Bogdan was a book collector and they had somehow crammed more shelving space into that apartment than I’d have thought possible. But then the clever, efficient use of space is something Europeans have a talent for — from then¹ long historical

development of conservative land use for a steadily expanding population.

I gave myself all of Wednesday to explore Warsaw. The city was extraordinarily alive, bursting with energy and street sounds, an incredible tumult of people and activity in all directions. It felt like I had walked into a mass re-birthing underway, with none of the jaded, slick feeling of Berlin’s Kurfurstendamm, but the freshness of something seeking its own form and style. Sidewalk stands selling everything from cassette tapes to kitchen-ware lined the streets. The only negative note was a massive instance of bulk architecture called the



I hadn’t managed to find a picture of this impressive statuary monument while I was there. Then, precisely when I was putting this chapter of the book together, it appeared for me in our local Seattle Times. This conveys just a portion of the entire grouping and it’s my own rendering.



Culture Tower, a brooding reminder of recent history that dominates the city by its sheer, singular size. I suspect it dates from the Communist years, but whether so or earlier, it radiates the cold linearity of life dominated by ideology and I'm sure the city would be lovelier and happier, and probably flower with more grace, if they tore it down.

Beyond the central area I discovered the oldest part of town, by the river Wisla; and near there a statuary tribute to the Warsaw Uprising of 1945, when the city was tragically betrayed by Soviet forces they had counted on to help oust the Nazis. It was one of the most awesome sculptural groupings I have ever seen: a larger than life assemblage of desperate figures in torment and violence, practically vibrating in their realism and intensity.

Ewa had spoken of a museum devoted to Secesja art in the town of Plock, sixty miles to the northwest. I bought a rail ticket that afternoon, figuring that an

Chcę zwrócić bilet do Płocka
na dzisiaj na godz. 18.45
i kupić bilet do Krakowa
na godz. 9.25. na dzisiaj.
Dziękuję.

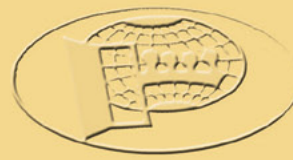
Przebieg było ewentualne.
w W-Wie.

PKP		NR BILETU 4578	DATA WYDANIA 91.07.17	STACJA WYDANIA WARSZAWA CENTR	KLASA 36	PRZEM. TA	POCŁAG POS	L. OS. TANTRA 1 N 8 MP. 6 MP.
OD PRZEZ DO	WARSZAWA CENTR		DO PŁOCK					
		KUTNO-GOSTYNIN						
KL.	PCC	WALNY BR.	WYJAZD W PŁOCK	KM	CENA ZŁ			
X	X50	1	91.07.18	180	1306.000			

What he wrote on the note, later learned, was „Ticket refunds not handled on train. Go to Station.” I kind of suspected, all along, that this zloty thing was nothing more than a giant Monopoly game.

early Thursday start should let me visit the museum and then take an afternoon train from there to Wrocław, on a direct line toward Prague. But when Bogdan pulled out his railroad schedules that evening it proved impossible to put together an itinerary that wouldn't involve an overnight stay in Plock, plus other complications. So I dropped the whole idea, deciding instead to heed the advice of the young woman from El Cerrito. Ewa wrote a note for me to present at the ticket counter requesting a ticket exchange. I'd take the Krakow express instead, at 9:25 in the morning.

At breakfast. Bogdan suddenly decided it was the moment to tell me all about the Warsaw Ghetto, the old Jewish quarter that the Nazis had flattened to rubble. It was 8:30 before I finally got on my way — time enough to just miss the bus that could have taken me to the train station in good time. I got the next bus ... just in time to keep me on edge all the way into town. It took a route that was new to



me, I lost sight of the landmark Culture Palace and lost my bearings in the maze of turns the bus took. It followed a long, round-about route while time kept ticking away and I kept trying to figure out where I was. The whole plan seemed headed for disaster. I finally spotted the low, rectangular station facade just seven minutes before train time.

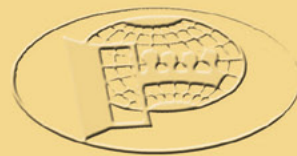
By then, it was too late to mess with the ticket counter line, so the problem assumed new dimensions, I had made a short hop in Holland without a ticket, but ... a three-and-a-half hour express to Krakow? It was either take it without a ticket, or not at all. I got on and settled myself in a compartment with five others to await whatever should develop.

Mile after mile, no conductor appeared on the scene as we whizzed across the Polish flatlands and into rolling hills. I imagined the worst — getting thrown off the train — and figured I had better just act dumb ... which wouldn't really be an act. We must have been halfway to Krakow before a conductor looked in and everyone reached for their ticket. Like some school kid with a note from home, I handed him the request that Ewa had written the night before. He studied it with

a frown, then wrote something below and handed it back to me. Was that all? No. He brought forth a little book from an inner pocket and began making calculations, finally indicating that I must pay a 33,000 zloty fare plus a 5000 zloty penalty for boarding the train without a ticket. Total price for the 180-mile express to Krakow: \$3.35.

SOMETHING ABOUT KRAKOW felt delightfully refreshing from the moment I arrived. The usual fruit stands and diverse entrepreneurs surrounded the depot, and I had to fend off taxi drivers, one of whom insistently wanted to drive me to Auschwitz. I brushed him away, remembering what I'd said to Albert when he spoke of wanting to see the Holocaust death camps: "not now, and not ever." None of these things seemed unusually refreshing, but a certain atmosphere hovered in the air like the breath of a late spring morning, though we were well into summer.

My second phone call turned up a host. Mindful of the six calls it required in Warsaw, I told him earnestly that I'd even be comfortable sleeping on a floor. His indignation at the very suggestion rang loud and clear. "No guest in my house sleeps on the floor!"



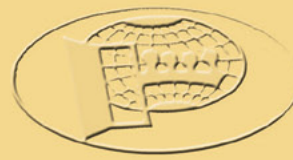
Część IV

POCZĄTKI SERVASU W POLSCE



Michał Olczak

Sary Servas



W górę szlaban!!!

Jacek Kleyff

Pamiętacie film „Przypadek” Kieślowskiego. W życiu jest podobnie. Raz się udaje wskoczyć do pociągu w biegu, raz nie. Pomijając polityczne konotacje filmu, ja wskoczyłem do SERVASu przez przypadek. Pierwsza sekretarz Servas Poland, pani Irena Wyrzykowska, wraz ze swym mężem Marianem, profesorem Politechniki Warszawskiej, mieli domek letni w Klarysewie, niedaleko od nas. Przyjaźnili się z moimi rodzicami. W jakimś momencie, było to chyba na przełomie 60. i 70. lat, pani Irena poprosiła mnie o pomoc przy oprowadzaniu po Warszawie gości z zagranicy, członków Servasu. Mogła to być młoda para Amerykanów z Indianapolis, będących w podróży dookoła świata bodajże od roku, lub student architektury z RFN (Republika Federalna Niemiec), objeżdżający Polskę szlakiem drewnianych kościołów. I tak się zaczęło.

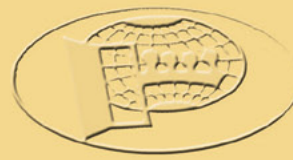
Servas Poland formalnie nie istniał. Adres i telefon Pani Wyrzykowskiej był znany sekretarzom Servasu

w innych, tzw. zachodnich krajach. Chętni do odwiedzenia Polski zjawiali się w Warszawie, często bez uprzedzenia. Po pierwszej nocy u Państwa Wyrzykowskich, po określeniu życzeń i potrzeb gości, pani Irena dzwoniła do nas, zwykłych członków i uzgadniała całą, jak dziś mówimy, logistykę pobytu. I tak, np. jadąc samochodem GAZ na Żuławy, gdzie prowadziłem wówczas badania maszyn melioracyjnych, zabrałem młodego Belga do Gdańska. Mam wrażenie, że samo jechanie było dla niego silnym przeżyciem. GAZ jechał maksymalnie 60 km/h, ale wtedy strasznie wył. Lepiej było jechać tak koło 45 km/h.

W 1973 roku, latem, przyjechała do Polski młoda, śliczna, filigranowa Japonka. Państwo Wyrzykowscy przebywali wówczas w domku w Klarysewie. Po drugiej stronie uliczki był wysoki metalowy płot, z drutami pod napięciem u góry, za którym mieszkał ówczesny pierwszy sekretarz PZPR (Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej), Edward Gierek. Chroniły go tam różne formacje jawne i tajne. Jawną była Nadwiślańska Jednostka KBW, z granatowymi wypustkami i butami oficerkami podbitymi gwoźdź-



Pani Irena Wyrzykowska (2011 r.)



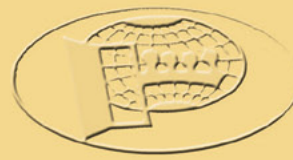
mi. Japonka dojechała do Klarysewa autobusem PKS z Dworca Mokotów, a wraz z nią przyjechał wracający z przepustki szeregowiec KBW (Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego). Musieli chyba iść razem pod górkę, gdyż i domek pp. Wyrzykowskich, jak i willa Gierka były na skarpie. Następnego dnia, w niedzielę, po południu, w domku pp. Wyrzykowskich zameldował się ów żołnierz, w stroju wyjściowym, trzasnął obcasami, i widząc profesora w fotelu na tarasie, poprosił go o rękę Japonki. Pamiętam, że gość był mocno zdeterminowany, długo trwało tłumaczenie i uspokajanie go. Japonka go nie chciała. Szkoda, bo tworzyli piękną parę. On był chyba dwa razy od niej wyższy.

Ówczesna działalność Servas Poland to w głównej mierze przyjmowanie gości. Wyjazd za granicę, tzn. za żelazną kurtynę był czymś wyjątkowym. Zmieniło się to dopiero od tzw. Aktu Końcowego Konferencji KBWE w Helsinkach, gdzie podpisano m.in. chyba trzeci koszyk, mówiący o swobodzie przepływu ludzi i idei. W „demoludach”, czyli krajach strefy wpływów radzieckich, tylko Polska w jakimś sensie te postanowienia wypełniała. Od 1973 roku można było starać się o paszport na Zachód i składać podanie do banku o prawo kupna 100, a później 150 \$ amerykańskich. Niepotrzebne było zaproszenie. Był to przełom. Na Zachód ruszyły tysiące, głównie młodych ludzi, łapiąc się tam różnych prac na czarno i przywożąc dewizy, z reguły więcej niż się zabierało. Mechanika kolejnych wyjaz-

dów polegała na tym, że przywiezione pieniądze trzeba było zgłosić celnikowi na granicy, następnie wpłacić do NBP (Narodowego Banku Polskiego) na konto dolarowe i przed następnym wyjazdem pobrać zaświadczenie z banku składane razem z podaniem o paszport. W następnych latach prawo do kupna dewiz w banku zostało mocno ograniczone i właściwie zmonopolizowane przez różne organizacje, jak ZSP (Związek Studentów Polskich), ZMS (Związek Młodzieży Socjalistycznej) czy nawet PTTK (Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze). W tym czasie zaczęły powstawać różne organizacje obieżyświatów, głównie po to, by mieć pieczętę i wystawiać zaświadczenia popierające ich członków do władz paszportowych i do NBP.

Nota bene, uważam, że te, idące później w miliony wyjazdy na Zachód były, oprócz Papieża Polaka, Kościoła i prywatnego rolnictwa, kolejnym czynnikiem, że Polacy masowo zapisali się do Solidarności. Wystarczył jeden krótki pobyt za żelazną kurtyną, aby wrócić uodpornionym na propagandę PZPR.

Wspomniałem wcześniej o prawdziwych pieniądzach (dewizach), gdyż podróżowanie po Zachodzie i odwiedzanie gospodarzy Servasu było w dzisiejszym sensie niemożliwe. Ja odbyłem właściwie tylko dwie podróże w życiu, obie w latach 70. Pierwsza, w 1973 r., była związana z moją praktyką w Instytucie FAT Taenikon w Szwajcarii, gdzie dostałem się prawdę mówiąc po znajomości. Pożyczono mi rower i wiele week-



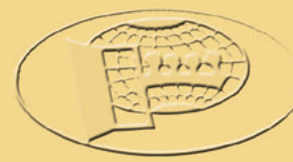
endów spędziłem u szwajcarskich gospodarzy Servasu, pedałując czasem po 100 km w jedną stronę. Miło wspominać wizytę w okolicach Sankt Gallen u serowara, produkującego ser Tilsitter. Pamiętam, jak mi tłumaczył, że ta receptura jest gdzieś od nas, ze Wschodu. Okazało się, że chodzi o popularny do dziś w Polsce ser tyłżycki.

Potem miałem tzw. szlaban na paszport, ogólnie mówiąc za odmowę współpracy. Ciągłe składałem nowe podania, potem odwołania, nawet raz zapisałem się na rozmowę do ministra spraw wewnętrznych. Przyjęła mnie kobieta, dyrektor gabinetu, popatrzyła w podanie i powiedziała: „Tylu Polaków nie było w Japonii, to i Pan nie musi. Następny”. A ja chciałem wtedy wejść na Fudzijamę. Ale w końcu, po 5 latach, po awanturze zrobionej w instancji odwoławczej na Koszykowej, dostałem paszport. Pojechałem, czy raczej poleciałem do Anglii, a raczej, jak uczy Norman Davies, do Wielkiej Brytanii. Zatrudniłem się w hotelu typu B&B i mając dach nad głową, wyżywienie i popołudnia wolne zacząłem systematyczne zwiedzanie Londynu. Odwiedziłem ówczesnego koordynatora Servasu na Londyn, p. Grahama Tomasa i wziąłem udział w rocznym spotkaniu gospodarzy Servasu z rejonu Londynu. Przydarzyła się mi wówczas śmieszna historia. Gdy mnie przedstawiono, podszedł do mnie Anglik w średnim wieku i zaczął obmacywać materiał mojej marynarki. Graham dał mu po łapach i bardzo mnie przeproszał. No cóż, byłem dzikim ze Wschodu. Miesiąc

popracowałem w hotelu, a następnie odbyłem swoją pierwszą, prawdziwą podróż servasowską. Prowadziła ona przez Oxford, Newtown, Aberystwyth, Holyhead i Chester. Poruszałem się autostopem, wędrowałem na przełaj przez zarośnięte pastwiska Walii, wspiąłem się na Cadar Idris i Snowdon, byłem na stacyjce w miasteczku o najdłuższej nazwie na świecie. Wszyscy przyjmowali mnie nadzwyczaj ciepło, karmili, oprowadzali, dawali rady, jak dotrzeć do następnych gospodarzy. Może najciekawszi dla mnie byli gospodarze mieszkający gdzieś głęboko, w pustych górach Walii, chyba parę godzin marszu od szosy. Młoda para, on Niemiec, który odmówił służby w Bundeswehrze, żyjący bez prądu, wegetarianie, uprawiający ręcznie skopany zagon ziemi. On od czasu do czasu szedł na dół, łapał dorywczą pracę, kupował zapałki, sól, jakąś siekierę i wracał kopać, siać, zbierać, suszyć. Prawdziwy traperski raj.

A propos Cadar Idris. Spałem kilka lat temu, no może kilkanaście, na podłodze w Pięciu Stawach, a obok Anglicy. Oni może bardziej pod stołem, gdzie nikt na nich nie wchodził. Jak wspomniałem, że byłem na Cadar Idris, to „czapki z głów” krzyknęli z uznaniem.

Żeby być podróżnikiem, trzeba było mieć list polecający. Znaczków nie mieliśmy, zresztą były to wówczas kwoty dla nas olbrzymie. Wspomnę, że jako pracownik naukowy, adiunkt w instytucie badawczym zarabiałem miesięcznie odpowied-



nik kwoty 25-30 \$. Pani Irena wymyśliła wówczas coś w rodzaju legitymacji-listu polecającego, takiego na stałe. Była to odbitka ksero na grubym, zielonym papierze, z fotografią, danymi osobistymi, zainteresowaniami i jej podpisem. Składało się to na trzy i wyglądało trochę jak dawne międzynarodowe prawo jazdy. Z tą legitymacją-listem podróżowałem i był on zawsze honorowany przez gospodarzy.

Z tamtego czasu, pod koniec lat 70., pamiętam tylko jedno spotkanie Servas Poland na Saskiej Kępie, w mieszkaniu pp. Wielanier. Przybyło ok. 10 osób, większość nie znała się osobiście. Pani Irena poprosiła, by każdy się przedstawił i powiedział kilka słów o sobie. Gdy doszło do pana w średnim wieku, oświadczył, że nazywa się Piotr Sommer i lekko obrażony dodał tylko: „moje nazwisko mówi samo za siebie”. Chciałem się

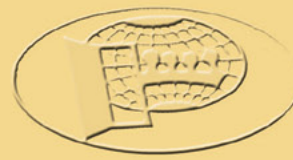
wtrącić, że mówi „lato”, ale na szczęście ugryzłem się w język. W tamtych latach odczuwałem, chyba inni też, że lepiej nie znać nikogo i nazwy Servas nie używać. Miejscem, gdzie zawsze padały niechciane pytania, było biuro paszportowe. Przy składaniu wniosku, odbiorze paszportu, a zwłaszcza przy jego oddawaniu po powrocie. Główne pytania dotyczyły spotkań z Polakami za granicą. Po tym, jak mi „odwiesili” paszport, stałem się bardziej bezczelny i na takie pytanie odpowiadałem: „gdy słyszę polską mowę przechodzę na drugą stronę ulicy”.

W 80. latach, zwłaszcza na początku, nie mieliśmy głowy do podróży, zajmowaliśmy się knuciem przeciwko komunistycznej władzy. Chyba w 1980 r., pierwszym roku naszej wolności, odbyła się próba zalegalizowania starego Servasu w Polsce. Z tego co pamiętam, dostaliśmy odmowę. No, a potem był już nowy Servas.



Jerzy i Ewa Krasiccy

Nasze lata z Servasem



Nazywam się Jerzy Krasicki. Moja żona ma na imię Ewa. Jesteśmy małżeństwem od ponad pięćdziesięciu lat, Ewa jest o dwa lata młodsza. Jesteśmy Polakami. Mieszkamy w Krakowie, a jest to najczęściej odwiedzane przez podróżników miasto w naszym kraju. Można tu prześledzić ponad 1000 lat rozwoju kultury, cywilizacji i tradycji naszego narodu. Należymy do stowarzyszenia SERVAS od trzydziestu lat. Jesteśmy w Krakowie pierwszymi, a więc najstarszymi członkami tej organizacji. Można powiedzieć, że zestarzeliliśmy się w Servasie, chociaż Servas nadal pozostaje młody, dynamiczny i twórczy, realizując konsekwentnie swoje statutowe założenia, zbliżając różnych mieszkańców Ziemi z nadzieją, że ich przyjaźń i wzajemne zrozumienie zaowocują kiedyś pokojem na całej planecie. Właśnie ta idea skłoniła nas do wstąpienia bez wahania do międzynarodowej rodziny Servas. Stało się to na początku września 1974 roku w Nowym Jorku, w mieszkaniu pani Revy King przy 12. ulicy w Greenwich Village. Wprowadzała nas pani Lidia Tabor, Amerykanka polskiego pochodzenia, która już podczas pierwszego spotkania uznała, że powinniśmy być członkami Servas, tym bardziej że planowaliśmy podróż przez całe Stany Zjednoczone od Nowego Jorku po Hawaje i z powrotem drogami południowymi.

Uzbrojeni w dwie książki adresowe członków Servas przez cztery miesiące podróżowaliśmy po Stanach Zjednoczonych, korzystając z gościnności „otwartych drzwi” między innymi

w Durango (Colorado), Gallup (Nowy Meksyk), San Francisco, Honolulu czy San Antonio (Teksas).

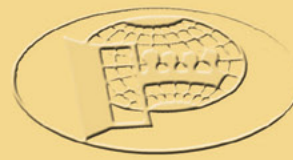
Wracając do Polski z bagażem pięknych i ciekawych wspomnień zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nasza działalność jako gospodarzy Servas będzie musiała przebiegać w konspiracji, gdyż ówczesne komunistyczne władze naszego kraju nigdy nie zgodzą się zarejestrować stowarzyszenia, nad którym nie będą mogły sprawować kontroli. Ale postanowiliśmy podjąć ryzyko.

Pierwszego gościa przyjęliśmy w pierwszych miesiącach 1975 roku. Była nią pani Barbara Aquah, ale jej narodowości już nie pamiętam.

Ryzyko członkostwa w Servasie dało o sobie znać chyba już w drugim albo w trzecim roku działalności polskiego stowarzyszenia. Pewnego dnia zadzwonił do mnie nieznajomy męski głos. Przedstawił się jako oficer wysoki rangą tajnej policji politycznej i musi ze mną porozmawiać. Zaproponowałem moje mieszkanie, na co on się zgodził. Gdy usiedliśmy przy kawie, zaczął mnie wypytywać o książkę, jaką aktualnie pisałem i o najnowsze prace artystyczne mojej żony. Czułem jednak, że nie to było powodem wizyty oficera, ubranego zresztą po cywilnemu. Poprosiłem, aby powiedział wprost, o co mu idzie. I wtedy on zapytał:

– Co to jest Servas?

Natychmiast domyśliłem się, że czyjaś prywatna lista polskich członków musiała wpaść w ręce tajniaków Służby Bez-



pieczeństwa. Przedstawiłem w skrócie cele i organizację stowarzyszenia. Na koniec dodałem: – Proszę pana, jeżeli turysta z obcego kraju w ciągu kilku dni pozna Kraków, moją rodzinę i nasz dom, jakie wspomnienia wywiezie z Polski, dobre czy złe? Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna. I o to mi chodziło. Odchodząc oficer powiedział o Servasie: – To stowarzyszenie realizuje bardzo piękne cele. Ta pochwała nie była jednoznaczna z zezwoleniem na dalszą działalność. Poprosiłem członków krakowskich, aby byli wyjątkowo ostrożni.

W ciągu upływających lat mieliśmy różne komplikacje i trudności, jednak nikt z członków stowarzyszenia nie był prześladowany, chociaż mogło się i tak zdarzyć. Działalność nasza była nielegalna, co nie u wszystkich naszych gości spotykało się ze zrozumieniem. Niektórzy, nieświadomie oczywiście, narażali nas na niebezpieczeństwo nie mogąc uwierzyć, że na przykład telefoniczne rozmowy, zwłaszcza z zagranicą, mogą być podsłuchiwane. No cóż, ogromna większość naszych gości żyła w systemie zapewniającym obywatelom liczne swobody, których my byliśmy pozbawieni, bo my, Polacy, przez długie lata niewoli, aby przeżyć, musieliśmy wyrobić w sobie nawyk konspiracji.

Jako pierwsi w Krakowie członkowie Servasu staraliśmy się powiększyć grono gospodarzy. Szukaliśmy ich wśród najbliższych znajomych, którzy zasługiwali na zaufanie. Z czasem zgłaszali się do mnie inni kandydaci, którzy w przeróżny sposób dowiadywali się o Servasie i o mnie jako koordynatorze regionalnym.

Po szesnastu latach pełnienia tej funkcji przekazałem ją młodszemu od siebie koledze. Była to symboliczna zmiana pokoleniowa. Normalna reakcja na upływ czasu.

W ciągu trzydziestu lat naszej obecności na listach członków Servas przyjęliśmy w naszym domu ponad 300 osób z wielu krajów świata, ze wszystkich kontynentów poza Antarktydą. Zachowaliśmy o nich same najlepsze wspomnienia. Oczywiście nie pamiętamy wszystkich, bo to niemożliwe. Ale zapamiętaliśmy niektórych. Zwłaszcza jedną młodą Australijkę spotkaną po raz drugi przypadkowo po długich latach w Kalkucie. Także Carol, kaleką dziewczynę z USA podróżującą samotnie, oraz grupę pięciu włoskich rowerzystów, których przyjęliśmy równocześnie z pewną młodą Amerykanką, jak również oryginalną rodzinę Włochów, nieformalnych małżonków z dwoma półirańskimi synkami, także niewidomą dziewczynę podróżującą z dwoma chłopcami na rowerach, którzy jadąc opowiadają swej koleżance to, co widzą.

Nigdy też nie zapomnimy Racheli, sekretarzy narodowego Izraela, a także bardzo starego Żyda z USA szukającego swych rodzinnych korzeni w pewnym małym mieście na wschodzie Polski.

W naszych sercach przechowamy też do końca życia młode małżeństwo z meksykańskiego miasta Posa Rica. Gościli nas tylko przez dwa dni, ale gdy w Polsce został ogłoszony stan wojenny, napisali do nas piękny list oferując wszelką możliwą pomoc, nazywając nas „bratem” i „siostrą”. Nigdy też nie zapo-



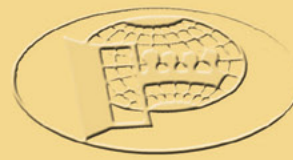
mnimy niezwyklej gościnności doktora Hugo w stolicy Meksyku. O tej wyjątkowej osobowości napisałem w swojej najnowszej książce pt. „Spojrzyć poza widnokrąg”.

Szkoda, że życie ludzkie jest zbyt krótkie, aby wyrazić wdzięczność choćby tym, którzy na nią najbardziej zasłużyli.

Różne są sposoby szukania prawdy o świecie, o ludziach i o sobie samym, ale Servas pozwala spojrzeć daleko poza widnokrąg zwyczajnego życia i przeciętnego człowieka. Także i na tym polega rola Servasu. Idzie tylko o to, aby pozostawić po sobie jak najlepsze wspomnienia. Bo to one właśnie obcych sobie ludzi łączą w jedną rodzinę spod znaku otwartych drzwi. Otwartych, bo otwieranych z sympatią, przyjaźnią i bez obaw. A więc z radością i nadzieją na ciekawe przeżycie, które wzajemnie wzbogaci tak gospodarzy, jak i gości. Dodam w tym miejscu, że wszystkich naszych gospodarzy w wielu krajach świata wspominamy z szacunkiem i wdzięcznością.

W przedpokoju naszego mieszkania znajduje się od bardzo wielu lat tak zwana „gałąź przyjaźni”. Jest to pień uschniętego świerka z wypustkami po uciętych gałązkach. Widnieją na nim niewielkie, kolorowe flagi 55 państw świata. Są to flagi tych państw, których obywatele gościli w naszym domu. Stworzyliśmy też swojego rodzaju prywatny ceremoniał. Gdy ktoś – co od wielu lat już się nie zdarzyło – należy do kraju, którego obywatela gościmy po raz pierwszy, prosimy go aby stanął obok i odśpiewał swój hymn narodowy. Następnie zapewniamy go o naszej sympatii, a on na „gałęzi przyjaźni” umieszcza przygotowaną wcześniej flagę jego państwa. Jesteśmy bowiem przekonani, że jeżeli ktoś obcy złożył wizytę w naszym kraju i w naszym domu, to wyjedzie z niego jako przyjaciel. SERVAS to nic innego jak wyciągnięta ręka do wszystkich uczciwych i szlachetnych mieszkańców Ziemi.

Kraków, 6 stycznia 2003 roku



Teksty zebrała i opracowała
Bogusława Ćwikowska

Projekt graficzny i opracowanie typograficzne
Małgorzata Wieczorek

Copyright by Stowarzyszenie Servas Polska

Wydawca
Stowarzyszenie Servas Polska
02-798 Warszawa, ul. Kabacki Dukt 16 m. 70

www.servas.pl